

**JANUSZ
KORCZAK**

DZIECI ULICY

Janusz Korczak

Dzieci ulicy

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843430

Dzieci ulicy:

Аннотация

Dzieci ulicy to powieściowy debiut Janusza Korczaka wydrukowany pierwotnie w gazecie (w 17 odcinkach). Książka ukazała się w roku publikacji prasowej (1901 r.). Przez lata nie była wznawiana i nieco zatarła się w pamięci czytelników i historyków literatury. Niedoskonałości warsztatowe powieści, choć jest ich trochę, nie zmieniają faktu, że opisuje w sposób niezwykle kawałek ówczesnej rzeczywistości. Narrator towarzyszy swoim bohaterom – dzieciom warszawskiej ulicy – w ich drodze życiowej. Razem z nimi zagłębia się w zaułki Powiśla, penetruje nadwiślańskie brzegi, kryminalne rewiry Pragi, obserwuje je przy pracy i zabawie, komentuje wybory życiowe lub ściślej mówiąc, brak możliwości ich dokonania. Niemal zawsze los dziecka ulicy jest już wytyczony – głód, bicie, praca ponad siły, alkohol, prostytutka, więzienie – i trudno się z tego błędnego koła wyrwać, zważywszy na społeczną obojętność. Niemniej, niemal przy minimalnym wysiłku nielicznych społeczników (hrabia Zarucki i jego siostra Irena) oraz wsparciu środowiska, niektórym się to udaje (Antek, Mania), inni mimo osobistych przymiotów skazani są na porażkę (Józiek Bzik). Powieść Korczaka jest ciekawa nie

tylko ze względów historycznych czy socjologicznych. Wierne przedstawienie realiów warszawskiej ulicy wymagało językowej pieczołowitości. Bohaterowie posługują się warszawską gwarą, nieobcy im jest żargon przestępczy – potoczna dziewiętnastowieczna polszczyzna, przesycona rusycyzmami, zwrotami zaczerpniętymi z jęz. niemieckiego i jidysz, a także francuszczyzną, to niewątpliwie jeden z największych skarbów podarowanych przez Korczaka potomności.

Содержание

I. Nabywca dzieci	5
II. Co to będzie?	24
III. Hrabia Zarucki	40
IV. Zwierzenia	56
V. Ucieczka	71
Конец ознакомительного фрагмента.	75

Janusz Korczak

Dzieci ulicy

I. Nabywca dzieci

W pogodny dzień jesienny Alejami Ujazdowskimi w Warszawie sunęły tłumy ludzi. Spieszno było mieszkańcom miasta nacieszyć się ciepłem, słońcem i czystym powietrzem. Toż niezadługo trzeba się będzie ukryć w mieszkalnych klatkach, wśród murów, i czekać całe pół roku, nim spod grubej warstwy brudnego śniegu ukażą się kamienie, a nędzne miejskie drzewka pierwsze puszczą pędy wiosenne.

Środkiem toczyły się karety, powozy i dorożki, jedne wolniej, drugie szybciej, mijając się, krzyżując. W powozach panie, postrojone w jedwabie i koronki, w kapeluszach bogato przybranych kosztownymi piórami, panowie w modnych strojach z cieniutkimi laskami zdobnymi w srebrne rączki. Tu przesunął się zgrabny wolant¹ hrabiego Wikcia, tam ciężkie lando² bankiera Totengelda, ówdzie leciutki kabriolet znanej Ziuty, przyjaciółki hrabiego Zdzisia. W dorożkach dwukonnych siedzieli paniczykowie z nogami bardzo wytwornie pokrytymi

¹ *wolant* – lekki, dwuosobowy powóz bez budy. [przypis edytorski]

² *lando* – rodzaj czterosobowego powozu konnego z opuszczaną budą po dwóch stronach, o przednim i tylnym siedzeniu jednakowej szerokości. [przypis edytorski]

pledami imitującymi tygrysie skóry. W jednokonkach znów spokojne mieszczaństwo używało przejażdżki w towarzystwie żon i licznej czeredy pociech. A trotuarami rozwijał się długim węzłem nieskończony, różnobarwy sznur pieszych.

Między bogatymi sukniami pań, ciemnymi paltami panów kręciło się wiele dzieci, zachęcając natarczywie do kupna wiązanek. Kwiaty tych bukietów były tak samo bezbarwne i smutne jak blade twarze sprzedawców.

– Niech pan kupi kwiaty.

– Niech pan kupi bukiet dla tej pani.

– Nie potrzeba.

– Jak to nie potrzeba? Taka śliczna pani.

– Nie potrzeba, powtarzam wam raz jeszcze.

– Proszę pana, dla narzeczonej o! widzi pan, narzeczona się uśmiecha.

– Kiedy to wcale nie narzeczona, to żona.

– Proszę pana, ja chcę zarobić na chleb. W domu matka, proszę pana, chora.

I do ręki dziecka pada miedziana moneta, a kwiatek wędruje do rąk towarzyszki szczodrego młodziana.

– Ile dał?

– Dychę.

– Pi, to ci dopiero, no!

– Golec.

– A ino.

– O patrz, ten kupi. Proszę pana, niech pan kupi kwiatek

dla tej ślicznej narzeczonej. Proszę pana, ojciec chory, spadł z drabiny.

– A czym jest ojciec?

– Mularzem³, proszę pani. Matka w szpitalu. Chcę zarobić na kawałek chleba.

Wśród tłumu osób szedł człowiek, który bacznym okiem śledził działalność żebraczej gromady. Szedł sam jeden, w palcie z podniesionym kołnierzem, z cienką laską w ręce. Spoza binokli spoglądało na dzieci dwoje dziwnych oczu przenikliwych. Czasem tylko błysły tam jakieś złowrogie ogniki gniewu, czasem błyskawica się na chwilę zapaliła płomieniem i znów były to oczy tylko przenikliwe, badawcze i chłodne.

– Mańka, Mańka, chodź no to!

Oczy przechodnia spoczęły na postaci Mańki i jej towarzyszu.

Dziewczynka mogła mieć lat dziesięć, choć drobna, chuda, na twarzy nosiła odcień powagi cechującej wiek starszy. W wytartej sukni nieokreślonego koloru, podartej i poplamionej, w podartym czarnym fartuchu, w bucikach wykrzywionych, które z przodu widać było aż do wysokości podartej pończochy, z tyłu i z boków zasłonięte ogonem sukni do kostek. Na talerzyku leżały w wodzie wiązanki kwiatów. W jej wielkich czarnych biegających oczach widniała przedwcześnie rozwinięta powaga, jakaś ciekawość niezdrowa i gniew niemy.

– Czego chcesz, czego się drzesz?

– Ten pan jest!

³ mularz (daw.) – murarz. [przypis edytorski]

– E, jest? Aaa! widzę, widzę.

Przybiegła do pana w żółtych bucikach i lśniącem cylindrze.

– Dzień dobry panu.

– A, już mnie znalazłaś. I czego chcesz?

– Pan kupi kwiatek dla tej pani.

– Kiedy nie mam pieniędzy.

– E, pan ma.

– A skąd wiesz, że mam?

– Bo pan bogaty.

– A to co za znajomość? – zapytała oparta o jego ramię pani

w wielkim kapeluszu z piórami.

– To moja nadworna kwiaciarka.

Pani uśmiechnęła się niedbale.

– Czy jesteś o nią zazdrosna? – spytał.

Pani obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

– Wiesz, też masz pomysły.

– No, Mańka, dasz mi kwiatek na kredyt?

– Dlaczego nie?

– Chcesz różę? – zapytał towarzyszki.

– Dziękuję – rzekła z niechęcią i podrażnieniem w głosie.

Pan dał Mańce srebrną monetę, wiązanki nie przyjął.

– Innym razem – rzekł z dygnitarskim ruchem ręki.

– Dziękuję panu.

– Ile ci dał, co?

– Dał czterdziestaka.

– Daj mi dychę.

– Ciekawam za co?

– Zawołałem cię.

– Ja bym sama go zobaczyła.

– Nie dasz? No, zobaczysz, pożałujesz.

– Masz, masz, nażrej się.

– Tylko się nie rzucaj tak bardzo.

Wziął dziesiątkę, pochwycił niedopałek papierosa, którego rzucił jakiś przechodzień i zaciągnął się.

– Antek – zawołała nagle Mańka.

– Czego ci się chce?

– Patrz, tamten znów się tu kręci.

Antek rzucił papierosa, zmierzył groźnie przeciwnika.

– Poszedł won! Tu nasze miejsce.

– Kupiłeś?

– A kupiłem, tobie co do tego? Zmiataj, mówię ci, pókim dobry.

Chłopiec zmierzył Antka od stóp do głowy.

– A boję się ciebie, myślisz?

– A myślę.

I Antek zbliżał się powolnym krokiem do chłopca, zachodząc z boku.

– Pójdziesz?

– Nie pójdę!

Antek pchnął chłopca bokiem, wystawiwszy łokieć. Uderzenie było silne; chłopcu spadła z głowy czapka.

– Poczekaj, dam ja ci.

Ale Antek miał przewagę pierwszego udanego ruchu. Zręcznie podniósł czapkę z ziemi, nasunął mu ją aż na nos i rzekł, pchając go przed sobą.

– Ruszaj, skądś przyszedł.

Walka była nierówna. Antek był silniejszy:

– Poczekaj, jak będę z Wickiem, to pomówimy dziś jeszcze.

– Oj! oj! boję się Wicka tyle, co i ciebie.

– Zobaczymy.

– Ano.

– Pies szczeka, wiatr wieje.

Antek przyskoczył do przeciwnika z zaciśniętymi pięściami.

– Słuchaj, powiedz no jeszcze co.

– A powiem.

Rozległ się odgłos uderzenia.

Do walczących zbliżyła się Mańka.

– Antoś, przestań już – prosiła.

– Wynoś się, o! – rzekł zirytowany Antek.

– Patrzcie, jak się o niego boi. Narzeczona! – sztydził pokonany zapaśnik.

Antek puścił się za nim w pogoń, lecz chłopiec uciekł.

Środkiem Alej płynęły powozy, dorożki; trotuarami sunęły tłumy. Piękne stroje tworzyły barwny dywan utkany z kosztownych tkanin.

– Proszę jaśnie pana, niech pan kupi bukietek. W domu matka chora, ojciec, sześcioro dzieci małych.

Pan w palcie z podniesionym kołnierzem, w ciemnych

binoklach, usiadł na ławce, patrzył on na cały przebieg walki spokojnie i ciekawie.

Antoś zauważył go i zbliżył się z uśmiechem.

– Niech pan, proszę łaski pana, kupi bukiet.

– Ile kosztuje?

– Co łaska, proszę pana.

– A co ja będę robił z kwiatami?

– Podaruje pan ładnej panience. Niech pan kupi. Chcę zarobić na chleb i na lekarstwo dla ojca. Matka mnie wysłała.

– Ty prawdę mówisz czy kłamiesz? – oczy nieznajomego głęboko zatopiły się w oczach Antka.

– Prawdę, proszę pana – odpowiedział, patrząc śmiało.

– Słuchaj, jeżeli powiesz mi prawdę całą, to ci dam rubla.

– Ja prawdę mówię, proszę pana.

Niebieskie oczy Antka ciekawie obejmowały postać nieznajomego. Przybrał pokorną postawę.

– Masz rodziców?

– Mam matkę chorą, proszę pana, ojciec zmarł.

– Jak dawno?

– Przed miesiącem, proszę pana.

– Mówiłeś przed chwilą, że ojciec jest chory.

– To ojczym, proszę pana.

– Więc matka już za mąż wyszła?

– A cóż miała robić, proszę pana? Zostało nas siedmioro, toby nie poradziła!

– Ojciec w szpitalu jest?

– Tak, proszę pana.

– Więc po co zebrzesz na lekarstwo? W szpitalu dają lekarstwa.

– Dla siostry, proszę pana.

– Mówiłeś, że dla ojca musisz kupić lekarstwo?

– Nie, proszę pana, dla siostry. Ojciec w szpitalu.

– W którym szpitalu?

– U Dzieciątka Jezus, proszę pana.

– Mańka jest twoją siostrą?

– Jaka Mańka?

– Ta, która sprzedaje tam kwiaty.

– Nie, to nie siostra.

– A co ona za jedna?

– Jej rodzice... Ona jest... My mieszkamy w jednym domu.

– A czym jest jej ojciec?

– Ona nie ma ojca.

– A matkę ma?

– Ma albo nie ma.

– Co to znaczy?

– E, pijaczka, po całych dniach nie ma jej w domu. I chora.

– Prawdę mówisz?

– A co miałbym kłamać?

– A gdzie ty mieszkasz?

– Na Szulcu.

– Pod którym numerem?

– Pod piętnastym.

- Jutro będę u was.
- Kiedy ja, proszę pana, mam kupić lekarstwo.
- To chodź ze mną, zaprowadź mnie teraz.
- E, teraz nie mogę.
- Kłamałeś?
- Ano, kłamałem.
- I nie powiesz mi prawdy?
- A nie.
- Dlaczego?
- Bo nie.

Antoś oddalił się rozgniewany.

– Coś z nim mówił? – pyta go Mańka.

– E, trajlował⁴ tam.

– A co mówił?

– Pytał się o mnie i o ciebie.

– A co on chciał?

– Choroba go wie. Chodź stąd, bo się jeszcze będzie czepiał.

Wieczór zapadał. Aleje powoli pustoszały. Rodziny z dziećmi powracały gromadnie do domu, powozy rozprysły się. Chłodny wieczór jesienny rozpędził ostatki spacerujących. Niebo się zachmurzyło, powiał wiatr silny. Liście z głuchym szelestem opadały z drzew na ziemię.

Mali roznosiciele kwiatów, drżąc z chłodu, tym natarczywiej ofiarowywali swój towar.

Czasem policjant zamajaczył na tle wilgotnego wieczoru, a

⁴ trajlować – gadać zmyślane historie. [przypis edytorski]

wtedy dzieci na dane hasło kryły się za drzewa, lub przebiegały przez środek ulicy.

Wreszcie ucichło zupełnie.

Antoś wracał z Mańką; zimno im było w mgle jesiennego wieczoru. Szczególniej chłopiec w swych dziurawych spodniach i jakiejś przezroczystej bluzie, narzuconej na koszulę, czuł chłód dotkliwy.

– Poczekaj, kupię papierosów.

Antek wszedł do sklepiku, kupił kilka sztuk papierosów, dla Mańki serdelek i czekoladę w srebrnym papierze.

– Masz.

Zapalił papierosa.

– Ile tam masz? – zapytał Mańkę Antek.

– Brakuje mi ośmiu kopiejek.

– Masz, niech cię tam. Czort go wie, w jakim on dziś humorze.

– Dziękuję ci. A ty?

– O, ja swoje zawsze zarobię. Żeby nie ten stary grzyb, to bym miał rubla dla siebie.

– Ty tak jakoś umiesz.

– Owa, wielka sztuka. Żebym to ja był dziewczyną, tobym jeszcze więcej zarobił!

– A jakże. Lepiej być chłopcem.

– Co ty tam wiesz... Dlaczego ty nigdy w rękę nie całujesz?

– Bo nie chcę i nie będę.

– Fi, takaś harda. W interesie tak nie można.

Biegli w stronę Wisły.

Gdyby się Antek albo Mańka byli obejrzeni, ujrzeliby idącego krok w krok za nimi w palcie z podniesionym kołnierzem i w binoklach ciemnych mężczyznę. Śledził on tę parę przez cały wieczór, szedł za nią, czekał, aż Antek wyjdzie ze sklepiku, a teraz zmierzał w stronę Wisły. Mocniej nasunął on kapelusz na czoło, czasem przystawał na chwilę, cofał się o kilka kroków i znów szedł za dziećmi, przyciskając w prawej ręce błyszczący przedmiot.

– Słuchaj, Antoś – zapytała nagle Mańka – czy ty się nie boisz Wicka?

– Co się mam bać?

– A jak on cię zbije; on silniejszy, a może i innych namówić.

– Już ja sobie poradzę. Nie takich rydzów widziałem.

Domy były coraz mniejsze; parkany oddzielały pojedyncze zabudowania, bruk stawał się coraz nierówniejszy, a latarnie coraz mniej rozpraszały ciemności.

Na zakręcie ulicy ukazało się dwóch chłopców.

– Antoś, patrz – zawołała z trwogą dziewczynka, chwytając Antka za rękę.

– Puść, głupia.

– Uciekajmy.

– Ja bym uciekł, ale ty?

– To weź moje pieniądze i leć.

– Głupia jesteś.

Ciemne sylwetki chłopców znaczyły się coraz wyraźniej.

– Dobry wieczór – zawołał ironicznie czternastoletni Wicek.

W ręce Antka błysnął jakiś przedmiot niewielki.

– Tylko się zbliżcie.

– Fi! fi! ja się twojego noża nie zląknę.

– Zobaczymy.

– Więc nożem mi grozisz?

– A nożem.

– E, rzucisz go zaraz.

– Antek! – zawołała Mańka.

– Nie rzucę. Cicho bądź.

– E, rzucisz.

Walek cisnął w przeciwnika kamień. Antek odskoczył w bok i w mgnieniu oka rzucił się i powalił chłopca na ziemię.

Drugi chłopiec nadbiegł z tyłu, ale Mańka pochwyciła go za ucho i ciągnęła z całych sił.

– Puść mnie.

Z dala dały się słyszeć czyjeś kroki.

– Ratunku! – zawołał Walek, który aczkolwiek silniejszy, nie był tak zwinny jak Antek.

Chłopiec zerwał się, cisnął nóż za parkan, a sam rzucił się do ucieczki.

W tej chwili ukazała się postać policjanta. W dwóch skokach dogonił Mańkę i pochwycił ją.

– Co ty tu robisz?

– Idę do domu.

– Do domu? A może byś do cyrkułu⁵ ze mną poszła?

⁵ *cyrkuł* (daw.) – posterunek policji. [przypis edytorski]

– Proszę pana, za co?

– A czego krzyczałaś?

– Bo chłopak chciał mi odebrać pieniądze. Jest tu za parkanem.

Za parkanem dały się słyszeć głośne kroki, jednocześnie rozległo się szczekanie psów i szamotanie się z nimi chłopca.

Policjant przesadził parkan. Mańka pędem puściła się przed siebie.

Kto by widział, że z ukrycia, z wgłębienia między murem i parkanem, wyszedł człowiek i pobiegł za Mańką, ten by mógł sądzić nie bez powodu, że jest to winowajca istotny tej walki nocnej.

Mańka biegła szybko. Krople potu spływały jej z czoła. Strach przed tym cyrkułem, który znała ze słyszenia, był nad wyraz wielki. Ileż to razy już już miała się tam dostać, ale wypłakała, wymodliła się lub uciekła w drodze. A ten cyrkuł, jak widmo groźne, jak upiór straszny, ścigał ją w sennych marzeniach i na jawie.

Na rogu dwóch ulic, które się krzyżowały, stał domek drewniany, a w nim szynk z pozaklejanymi od ulicy szybami. Dalej ciągnął się już tylko szereg parkanów, w dali w ciemności majaczyła Wisła.

Do tego szynku wbiegła Mańka; przebiegła szybko pierwszą i drugą izbę, otworzyła drzwi, które prowadziły na korytarz długi, na końcu którego znajdowały się schody.

– No, jesteś? – zapytał z góry Antoś.

W tej chwili drzwi się otworzyły, jasna smuga światła na chwilę rozproszyła ciemności.

– Kto to? – zapytała z niepokojem Mańka.

Nie było odpowiedzi.

– Czy to ty, Szmul?

Milczenie.

Mańka przebiegła schody, słysząc za sobą w ciemności czyjeś kroki niepewne.

– Kto to? – zapytała raz jeszcze, a nie otrzymawszy odpowiedzi, wbiegła na poddasze do pokoju razem z Antosiem i zamknęła drzwi na klucz.

– Czego hałasujecie tak? – ozwał się z wnętrza ostry głos męski. – Nie możecie wejść spokojnie.

– Bo... bo... tam ktoś jest.

– Jaki ktoś?

– Jest tam; nie wiem, słyszałam, widziałam, jak wchodził.

– Nie łzyj tylko, rozumiesz?

– I ja widziałem – dodał Antek.

– Czy jeden?

– Zdaje się, że jeden.

Dało się słyszeć otwieranie i we drzwiach z lampą w ręce stanął mężczyzna.

– Kto to?

– Ja – rzekł nieznajomy w palcie z podniesionym kołnierzem, w binoklach.

– Czego pan chce?

- Chcę wejść.
- Jakim prawem?
- Mam do pana interes.
- Ja w nocy nie załatwiam interesów.

I mężczyzna z lampą w lewej ręce począł się powoli przysuwać do nieznanego. Nagle zatrzymał się, ujrawszy wymierzoną w siebie lufę rewolweru.

Stał chwilę, drżąc wobec niebezpieczeństwa i patrząc ze strachem w oczy utkwione w niego jak dwa ostrza, spoza binokli.

- Coś pan za jeden? – wybąkał – ja pana nie znam.
- I nie masz pan potrzeby mnie znać. Czy mogę wejść do pokoju?
- Proszę.

Cała ta scena trwała zaledwie chwilę. Nieznajomy pewnym krokiem wszedł do izby. Duży pokój z nierównym sufitem, z małym oknem. Żelazne łóżko stało przy drzwiach; w łóżku leżała jakaś dziewczyna z młodą, ale zniszczoną twarzą, pokrytą gęstą warstwą jakiejś taniej farby.

- Ach! – krzyknęła, okrywając się kołdrą.
- Milczeć! – rzekł groźnie gospodarz mieszkania.

Postawił lampę na stole sosnowym, założył ręce na piersiach i zapytał krótko:

- Więc?
- Czy to pana dzieci?
- Co to pana obchodzi?
- Chcę wiedzieć!

- W jakim celu?
 - Chcę od pana te dzieci kupić.
 - One nie są do sprzedania.
 - Ile pan żądasz?
 - Chce pan je kupić?
 - Mów pan, ile pan chcesz rubli za Antka i Mańkę?
- Antek i Mańka stali nieporuszenie.

- Ile chcę? Po co panu te dzieci?
- Potrzebne mi są.
- Na co?

– Rozmowa nasza trwa zbyt długo.

Na zwiędłej twarzy opiekuna dzieci widać było jakąś walkę.

Był nietrzeźwy i trudno mu było zebrać myśli.

- Ja mam z nich duży dochód – rzekł wymijająco.
- Więc policz pan więcej.
- Tysiąc rubli pan da?
- Za dwoje czy za jedno?
- Za... no tak, za jedno; rozumie się, że za jedno.
- Więc dwa tysiące rubli?
- Hm, Mańka nie jest moją córką, ale...
- Ale?
- Ale ja mogę pomówić z jej matką. Może się zgodzi.
- Kiedy pan pomówi?
- Jutro.
- Ja chcę rzecz załatwić od razu, teraz.
- Trzy tysiące pan da?

– Dam!

– Zaraz?

– W tej chwili. Pan ma papiery dzieci przy sobie?

– O, papiery w porządku.

Nieznajomy sięgnął do kieszeni.

– Panie, ja panu ufam.

W tej chwili przez drzwi wsunęła się ruda głowa Żyda.

– Czy?...

– Precz, wynoś się... Antek, patrz, żeby nie podsłuchiwał.

Dało się słyszeć szamotanie za drzwiami, przytłumione wymysły, wreszcie wszystko ucichło; Antek wrócił.

– Ufam panu – ciągnął nieznajomy – że pan mnie śledzić nie będzie, gdy wyjdę, że dzieci te będzie pan uważał z chwilą otrzymania pieniędzy za moją własność.

– O, masz pan na to słowo honoru – rzekł z teatralnym gestem pijak.

– Sto, dwieście, trzysta, czterysta, pięćset – liczył przybyły, układając nowe sturublówki.

Pijał brał je między palce, patrzył pod światło.

– Czy pan jest właścicielem cyrku?

– Może.

– O, to pan dobry interes robi.

– Ja nigdy złych nie robię.

– Napije się pan ze mną?

– Dziękuję.

– Gardzi pan?

– Tu jest całe trzy tysiące. Proszę o papiery.

– Proszę bardzo: metryki, świadectwa pochodzenia, nic więcej nie potrzeba.

– Za godzinę wyjeżdżam za granicę... Dzieci, idziemy.

– No, chłopcze, sprawuj się dobrze. Widzisz, ten pan bogaty, wyrób się, pamiętaj, a o ojcu nie zapominaj, jak ci będzie dobrze.

– Idziemy – powtórzył nieznajomy.

Antek i Mańka szli jak uśpieni. Ojciec sprowadził ich na sam dół aż do ulicy.

– No, Szmul, dawaj spirytusu.

– Niech no mi pan Andrzej powie, co on chciał? Po co on tych małych wziął?

– Ano, kupił ich.

– Jak to kupił?...

– Kupił, zapłacił 3000 rubli gotiu⁶. O, patrzaj, Żydzie.

– Co, 3000? Czy on wariat?

Szmul wybiegł przed szynk, ale Andrzej pochwycił go za kołnierz i wciągnął na powrót do sklepu.

– Dałem mu słowo honoru, że go śledzić nie będę.

– No, to niech pan nie śledzi. Ja słowa honoru nie dawałem.

Szmul wyrwał się, wybiegł na ulicę. Było pusto. Biegł najbliższą drogą w stronę miasta, wołał, biegał. Nikogo nie było.

– Aj! aj! Trzy tysiące. Dlaczego pan nie żądał sześć albo osiem?

– Wystarczy i trzy.

⁶ gotiu (gw. warsz.) – gotówka. [przypis edytorski]

– A może to fałszywe?

– Kupisz je za połowę ceny?

– Dlaczego nie?

– No, to przynieś mi kolację na górę, tylko pamiętaj, dobra żeby była.

Andrzej wyszedł ze sklepu do siebie. Szmul zamknął szynk, zaniósł wódkę, kiełbasę i jajecznicę na poddasze i wziął się do liczenia kasy:

– Oj! oj! dziecko sprzedał, dziecko sprzedał. Czy on jest człowiek?

Wszedł do alkowy, ucałował po kolei swoje śpiące w miękkich betach bachory i rozbierając się, myślał dużo. A potem położył się i długo nie mógł zasnąć, bo nie wiedział, co to za pan, co to za pieniądze i co to za ojciec, który dzieci swoje sprzedaje.

A pan Andrzej, podnosząc w górę kieliszek i uderzając nim o kieliszek ulicznej dziewczyny, wołał:

– Za zdrowie Antka!

A potem, spluwając, dodał:

– Psia krew! To ci dopiero jestem bogaty teraz!

II. Co to będzie?

Antek i Mańka szli spokojnie, trzymani mocną ręką mężczyzny.

Antek myślał z trudem.

Przed godziną chodził w Alejach i sprzedawał kwiaty, potem spotkał tego pana, ten pan tak dziwnie z nim mówił, potem Antek odszedł sobie, znów sprzedawał kwiaty, potem kupił papierosy, bił się z Wickiem, uciekał, potem...

„Co teraz będzie z nami?” – zadał sobie pytanie.

Może ojciec wziął pieniądze i odbije go teraz? A może, nie czekając na pomoc niczyją, uciec samemu wyrwać się i uciec? A jeżeli ucieknie, co się stanie z Mańką?

Próbował wysunąć rękę. Nie można. Ręka przewodnika trzyma go silnie.

Nie, uciekać nie warto. Trzeba zobaczyć jeszcze. Uciec ma czas. Mańki nie zostawi. Mańka – dziewczyna, głupia – sama sobie nie poradzi. A może mu lepiej tam będzie?

E, chyba lepiej to mu nie będzie. Wywiezie go nieznajomy z Warszawy, a w Warszawie jest dobrze, wesoło. Dawniej, to co innego. Nie umiał Antek „chodzić koło interesu”, wstydził się jakoś, mało zarabiał i brał od ojca *wnyki*⁷. Ale teraz. Zawsze miał swojego rubla, papierosy, piwo stawiał kolegom, a Saska Kępa,

⁷ *wnyki* – lanie. [przypis edytorski]

a cyrk...

A może ten pan jest właścicielem cyrku? Antek zna cyrk. Wielka sala. Tysiące ludzi. Światła się palą. Arena wysypana żółtym piaskiem. Muzyka gra. Lokaje stoją we frakach, w rękawiczkach, mają złote pasy przy kieszeniach. Tyle złota, tyle jasności, tak głośno. Biją wszyscy oklaski, a jeździec wyjeżdża na koniu w trykotach, z aksamitną przepaską, z różnego koloru blaszkami. Jeździec kłania się, a wszyscy klaszczą. Muzyka zaczyna znów grać. Błazen coś mówi, przewraca się, kręci, woła lokajów, bije ich po twarzy, ale tylko tak, naumyślnie. Taki śmieszny. Wszyscy się śmieją. Jeździec zacina konia. Koń śliczny, tłusty, ma cienką szyję i tak stawia nogi jakoś dziwnie, ale ślicznie. Zaczyna się przedstawienie. Siodło na koniu płaskie. Skoczek staje na koniu. RzUCA piłki i chwytA je w powietrzu. Przeskakuje przez koła z bibułą, przez szerokie szarfy. Orkiestra wygrywa coraz głośniej. Koń pędzi prędko, przechyla się do środka areny. A ten nie spada.

Ach, jak to pięknie.

Albo ci na trapezach. Ten pan pewnie dlatego właśnie kupił go z Mańką, żeby nauczyć ich na trapezach robić sztuki. Widział jeszcze mniejsze dzieci. Ach, jak to ślicznie.

Antek przyśpiesza kroku. Już kończy się Powiśle. Za chwilę wejdą na ulicę śródmieścia.

Dokąd on ich prowadzi?

Nieznajomy idzie miarowym krokiem, nie patrząc na swoich więźniów.

Antek myśli dalej.

Czy on też prędko nauczy się tak przeskakiwać z trapezu na trapez? W cyrku biją. A ten go przecież kupił. Dlaczego ojciec go sprzedał? Ba, trzy tysiące rubli. Teraz ojciec jest bogaty. Może kupi sobie powóz i karetę.

Antek zrobił rozpaczliwy ruch. Dziecko Powiśla lękało się śródmięscia o tej porze. Ale dłoń nieznajomego ścisnęła jak żelazna obręcz jego drobną rękę. Tylko kości trzeszczały w stawach.

Ulica zalana potokami światła. Pieszycy nie ma, ale powozy wśród głośnych okrzyków i śmiechów pędzą środkiem „po kawalersku”.

– Ja nie chcę iść – mówi Antek.

– Boisz się? – pyta nieznajomy.

– Nie.

– A dlaczego nie chcesz iść?

– Bo nie chcę.

– Będziesz mógł wrócić do ojca, jak nie zechcesz zostać u mnie.

– Prawda była.

– Nie wierzysz mi?

– A tak. Jak nas pan wywiezie, to nas już sam diabeł nie znajdzie.

– Mówię ci, że będziesz mógł wrócić.

– Pan myśli, że „fater”⁸ panu odda pieniądze?

⁸ *fater* (gw. warsz.) – ojciec. [przypis edytorski]

– Chodź, w hotelu pomówimy jeszcze.

– No, dobrze – zgodził się chłopiec.

Na rogu ulicy wznosił się hotel.

– A daleko to? – zapytał jeszcze Antek.

– O, tu naprzeciwno.

Przeszli środkiem ulicy. Weszli do wielkiej bramy; na lewo prowadziły schody. Schody były wysłane dywanami. Na półpiętrze lśniło wielkie lustro. Jasno jak w cyrku. Antek rozgląda się swobodnie. Mańka lęklonie stąpa w swych zabłoconych bucikach po miękkim dywanie.

Portier tak groźnie spojrzął na dzieci, gdy wchodziły.

Już są w numerze.

Na progu wita ich stary lokaj zapewne, bo zdejmując przybyłemu palto. Obecność dzieci nie zadziwia go. Starzec jest wzrostu wysokiego, ma siwe przyciemnione oczy, wielkie białe brwi i wąsy, a włosy mu błyszczą jak srebrne. Nie mówi nic.

– Idź, Macieju, zapłać rachunek i zamów karetę.

– Słucham jaśnie pana.

Zrobił zwrot wojskowy i wyszedł.

– Idźcie do pokoju.

Antek wchodzi do sąsiedniego pokoju, za nim Mańka. Antek rozumie, że dziewczyna widzi w nim opiekuna i to go napęnia dumą.

– Niech pan powie, co pan chce z nami zrobić?

– Dowiesz się niezadługo, teraz nic wam nie powiem.

– To my nie pojedziemy.

- To ja każe areztować was. Widziałem waszą walkę na noże.
- Nieprawda, ja nie miałem noża – zaprzeczył żywo Antek.
- Widziałem. A teraz idźcie się naradzić. Ze mną albo do więzienia.

Wśród towarzyszy Antka niejeden już „doił kożę”⁹; dumni byli z tego chłopcy, opowiadali o tym. Była to arystokracja wśród chłopców. Ale Antek... jeszcze bał się murów więziennych i krat żelaznych.

Nieznajomy zamknął drzwi za dziećmi.

– Wiesz Mańka, jeść mi się chce – zaczął Antek, nadrabiając miną.

– I mnie też – rzekła Mańka.

– Niech nam da coś jeść.

– Przecież mu nie powiesz?

– Dlaczego nie? A co mi zrobi? Jak miał pieniądze na kupienie nas, to niech teraz żreć daje.

– Antoś, nie rób tego.

– A właśnie, że zrobię.

I Antek, nie bardzo wiedząc, co robi, otworzył drzwi i rzekł:

– Proszę pana, nam się chce jeść.

– W mojej torbie podróżnej jest jedzenie, leży na kanapie – odpowiedział spokojnie gospodarz.

– No, Mańka, wsuwajmy. Patrz, Mańka, *fajne*¹⁰ jedzenie. O, kiełbasa, o, chleb. No, wcinaj.

⁹ *koza* – tu: więzienie. [przypis edytorski]

¹⁰ *fajny* (z jidysz *fajn*) – w porządku. [przypis edytorski]

Zaczęli jeść. Antek pierwszy napakował sobie pełne usta.

– Więc, widzisz, ja sobie myślę tak: bogaty to on jest. Grosze ma. Krzywdy sobie zrobić nie damy. Co szkodzi spróbować. Może się uda. Albo drapniemy do domu, albo gdzie indziej. Wszędzie sobie zarobimy przecież. Co? Jeszcze lepiej będzie; co zarobimy, to będzie dla nas. A tu musimy starym oddać. Co?

– Ja nie wiem – odparła Mańka.

– Ty nic nie wiesz – zachnął się niecierpliwie Antek. – Widzisz, ci bogaci to mają, mówię ci, złote życie. Patrz, jakie łóżko, co? Pewnie i my będziemy mieli takie łóżka. Ja bym tam ciągle tylko leżał sobie i leżał... Bo ci bogaci to wstają, mówię ci, dopiero po obiedzie, albo jak. Co to szkodzi? Ale po co on fatrowi płacił, kiedy mógł sobie nabierać tych bachorów nad Wisłą za darmo, co?

– Nie wiem.

– Głupia jesteś. Więc ja jadę. A ty?

– Ja także.

– Poczekaj, nie leć tylko. Czy ty umiesz włązić na dach albo na drzewo, albo przez okno wyskoczyć? Ja co innego.

W oczach Mańki zabłyśły jakieś ponure światełka.

– Ja nie chcę wracać do domu – rzekła z mocą.

– Bo co?

– Bo nie chcę.

– A źle ci było?

– Źle.

– A czego ci brakowało?

Mańka nie odpowiadała.

– A jak ci będzie jeszcze gorzej?

– To się powieszę.

– A jakże.

– A Staśka się wieszala przecież.

– Staśka co innego. I odcięli ją przecież.

Wszedł lokaj z siwymi wąsami, zebrał rzeczy, powkładał do walizki, nie mówiąc ani słowa. Zebrał resztki jedzenia, włożył do torby podróźnej.

– Jedziemy – rzekł nieznajomy.

Wziął dzieci za ręce. Zeszli po tych samych schodach, po których weszli. Znów to samo lustro, chodniki, płomienie gazowe, znów lokaj z groźnym spojrzeniem.

W bramie czeka kareta.

Wsiedli. Zatrzęsnięto drzwiczki. Antek za żadne skarby nie przyznałby, że dreszcz strachu przebiegł jego członki. Chłopiec miał dopiero lat dwanaście. Co teraz będzie?

Przejechali szeroką ulicę, jasno oświetloną. Znów wjechali w ciemne ulice. Potem przejechali most żelazny. Złoty wąż latarni nadrzecznych odbijał się, kołysząc w falach rzeki. Miasto czarnymi konturami rysowało się na tle ciemnego nieba. Koła powozu tłukły mocno o żelazny bruk mostu.

Potem Praga, park po lewej stronie, niskie domy, place puste, jakieś zabudowania, skwer, ceglany dom fabryczny, parkany.

I oto wznosi się wielka budowla; z okien płyną strumienie światła. Dworzec kolei.

Wychodzą na peron. Milczący sługa śpieszy do kasy po bilety. Idą po kamiennym bruku dworca. W dal ciągną się szyny. A tu wagony. Siadają na wózku do przewożenia rzeczy. Pan w binoklach trzyma ich za ręce.

Antoś zapada w półsen. Widzi cyrk wielki, gmach więzienny, izbę szynkową, gdzie ojciec odbiera od niego pieniądze w ciągu dnia wyżebrane, widzi wielki hotel i poddasze, i swoje posłanie na tapczanie, widzi surowego portiera i stróża, który go bije, widzi milczącego starca, gromadki grających nad Wisłą w karty, sam gra w pasek¹¹, a oto Saska Kępa; Wicek mu wygraża pięścią, jakaś pani w pluszowej rotundzie kupuje cały pęk kwiatów, daje mu rubla, Wicek rzuca się na niego, a on go nożem uderza. Wicek pada, robi się zbiegowisko i oto zjawia się żandarm w ciemnych binoklach, w palcie z podniesionym kołnierzem. Chwyta go w pół, rzuca do Wisły. Antek nie tonie, ale płynie, płynie, płynie...

Mańka nie spała. Jej wielkie czarne oczy błędziły po niebie, po gwiazdach. Nie myślała w tej chwili o niczym. Była zmęczona i śpiąca.

Antek drgnął. Jakiś huk głośny rozległ się tuż nad jego głową. Męczące widzenia przysły.

Pierwszy dzwonek.

Z sykiem zbliża się lokomotywa do sznura wagonów. Stuk, wagony uderzają wzajemnie, cofają się gwałtownie, świst

¹¹ *gra w pasek* – uliczna gra hazardowa polegająca na rzucaniu nożem w rzemień.
[przypis edytorski]

lokomotywy, para bucha z komina. Zbliża się konduktor, obrzuca gromadkę zdziwionym wzrokiem: wytwornie odzianego pana z dwojgiem obdartych dzieci.

Co go to obchodzi? Dostał trzy ruble, więc daje osobny przedział.

– Proszę za mną.

Wchodzą do przedziału pierwszej klasy. Znów miękkie kanapy jak w hotelowym pokoju; siedzenia pokryte pluszem. Na podłodze cerata. Nad głowami siatki do rzeczy. W szklanych kloszach płonie równe światło, przez otwarte okienko wdziera się chłodne nocne powietrze. Na niebie lśnią gwiazdy.

Dzieciom zimno. Starzec wyjmuje z pasków pled i podaje im.

– Masz, Mańka – mówi Antek – okręć się.

– A ty?

– Mnie ciepło – dowodzi, szczękając zębami Antek i staje przy oknie.

Drugi dzwonek. Na stacji ruch się wzmacnia. Przedział ich wygląda jak mały pokoik. Ciemne sylwetki osób snują się na peronie. Migają latarki konduktorów. Czerwona czapka naczelnika stacji znaczy się na żółtym tle okna trzeciej klasy. W sali, za szybami okien, jacyś ludzie śpią na ziemi, z głowami opartymi o tłumoki. Są tam mężczyźni, dzieci i kobiety. Zapewne czekają na ranny pociąg. Antek widzi to wszystko jak przez mgłę. W uszach słyszy szum.

Trzeci dzwonek. Gwizdka ostra, krótka, rozkazująca. Lokomotywa odpowiada przeciągle, ochryple, niedbale. Na

okrągłej żelaznej beczce podnosi się młotek i opuszcza, wydając dziwny dźwięk. Pociąg cofa się, zatrzymuje i poczyną posuwać się naprzód.

Jadą.

Koła wagonu biją głośno o żelazne szyny. Wagon się lekko kołysze na osiach jak łódka na Wiśle, gdy statek przepłynie. Jakiś domek, obok stoi człowiek z czerwoną latarką. Dalej znów słup, a w górze latarka czerwona. Wagon głośniej uderzył.

Jadą. Ani jednego domu. Księżyc białym sierpem znaczy się na niebie. Półmrok panuje nad polami. Tu drzewa dumają, zwiesiwszy swe sztywne, nagie ciała nad rowem.

Służący z siwymi włosami siedzi w rogu, przymknął oczy i drzemie. Wygląda jak umarły. A ten pan, który ich kupił, siedzi w drugim rogu przedziału i przygląda im się uważnie. Ten jego wzrok stalowy biega po ich postaciach, mierzy ich od zwichrzonych włosów do zabłoconych dziurawych trzewików. Wzrok ten ciąży na malcach.

Dzieci ogarnia lęk przed tym wzrokiem, z którego idzie dziwna siła.

Pola szepcą cichą modlitwę. Dzieci jej nie słyszą, nie rozumieją. One znają mowę miasta, tę mowę złą, głośną, cyniczną, szyderczą i zabieglwą: mowę rozpustnika, który chce używać. Są i w mieście inne odgłosy, odgłosy pracy dla postępu, lecz tej dziecko ulicy nie słyszy.

Przeciągły gwizd i pociąg zwalnia w biegu. Dłużej teraz wzrok zatrzymuje się na sośnie z igłami, na chacie. Z dala idą światła.

To fabryka płonie szeregami kwadratowych okien.

Pociąg zatrzymuje się. Dzwonek, nawoływania, ostatni sygnał. Znów ruszają.

Wszystko to jak za mgłą gęstą widzą dzieci.

– Połóżcie się spać – mówi pan.

Są mu posłuszne. Siwy sługa rozciąga na siedzeniu pled, kładą się. Myśli wikłają się, kłębią, na pół jasne, na pół świadome. Chłodny powiew idzie od okna. Pan zasunął na latarkę pokrycia płócienne. Ciemno. Dzieci zasnęły.

On wstał, cicho zbliżył się do okna, wychylił głowę i patrzy na zmieniającą się panoramę. Wargi jego poruszają się miarowo. Czy oblicza zyski, jakie mu kupione dzieci przyniosą, czy spowiada się z jakiegoś cierpienia, które mu piersi tłoczy, czy postanawia coś, czy się modli?

Słupy telegraficzne jak szereg żołnierzy, olbrzymów na warcie, przesuwiają się przed oczami. Siatka drutów jak jedwabne sieci pajęczne snuje się bez przerwy.

Iskra pada do przedziału. Zasuwa on okno i siada. A tam za szkłem, tysiące płomiennych miga błyskawic.

Pociąg zatrzymuje się. Dzwonki, głosy, gwizdki – i znów pędzi dalej.

A żółty świt mglisty ukazuje się na skraju horyzontu. Leniwie wychodzi jesienne słońce. Chmury stroją się w żółtoróżowe kolory, grają karminem, złotem i srebrem.

– Dzieci, wstawajcie!

– Co? – pyta Antek nie otwierając oczów.

– Wstawajcie. Zaraz wysiadziemy.

– Mhm.

Przeciera oczy, rozgląda się. Więc to nie jego strych?

Przypomniał sobie wszystko. Tracił Mańkę. Mańka zerwała się.

– Już, już, zaraz!

Otwiera oczy i dziwi się.

I dwoje dzieci obdartych, wystraszonych, siedzi na aksamitnych poduszkach pierwszej klasy w oświetleniu wschodzącego jesiennego słońca.

Sprzedane...

– Wysiadamy.

Siwy starzec pakuje rzeczy, zdejmuje torbę podróżną z siatki.

Pociąg staje.

Jest to mała stacyjka położona na szczerym polu. Gdzieś z dala czernią się lasy, a tu wokoło nic prócz pól z ostrymi jak szczecina łodygami zżętego zboża. Całe morze pól rozległe, poważne, spokojne. Naczelnik stacji uchyla czapkę przed opiekunem Antka i Mańki i ciekawym wzrokiem obejmuje przybyszów.

Przed stacją czeka bryczka. Siadają.

Woźnica bez słowa powitania bierze w ręce cugle. Ruszają. Pociąg idzie z nimi równoległe, prześciga ich i, wyrzucając kłęby dymu, pędzi i niknie na zakręcie za skrajem lasu.

Bryczka kołysze się na drodze, konie pędzą szybko. Lipy przydrożne dwoma szeregami dzielą obszar pól szeroki. Słońce

rzuca skośne promienie.

Antek rozgląda się i nie rozumie.

– Więc tu mają mieszkać? A cyrk, a światła, a ulice, a domy, a powozy, a latarnie gazowe, a tłumy rozbawione?

Spojrzał na Mańkę.

Dziewczynka rozglądała się ciekawie, a twarz jej smagła, zarumieniona od chłodu, wyrażała jakby uwielbienie, jakby tęsknotę.

Zatrzymywała się wzrokiem na każdym drzewie, śledziła każdy kamień szosy, zdawała się słać pocałunek tej naturze tak jej nieznaney, tak obcej.

Budziło się w duszy dziecka uczucie nieokreślone, podobne do uścisku serdecznego dla czegoś, co wschodzi, co ukazuje się mu w marzeniu sennym.

Oto wieś. Chałupy jak ogniwa łańcucha ciągną się, przeplatane sadami wzdłuż drogi. Oto kościół. Dzwonek lękliwy, srebrny, płynie w niebo. Kościół wznosi się nad wioską.

Wózek się zatrzymał.

Wszyscy czworo skierowali swe kroki do wejścia. Przez białe szyby pierwsze czerwone promienie słońca wlewały się, spływając na skromny ołtarz.

Uklękli pan i Mańka.

Antoś rozglądał się.

„Tu brzydko – myślał chłopiec. – W Warszawie w kościele jest inaczej. Tam dzwon tak się donośnie rozlega, tam tyle złota i tylu ludzi. A ta pusto i biednie. I organy ładniej tam grają”.

Mężczyzna ukrył twarz w dłoniach i nieruchomo klęczał na kamiennej posadzce. Mańka klęczała obok, spuściła głowę na piersi i ciężko westchnęła, i coś szeptała. Antoś był zły: czuł, że między nim i tą dziewczyną stanął jakiś mur wysoki, jakaś przepaść nieprzebyta. Ona klęczała i modliła się, on gotów był śmiać się i drwić, ona z zachwytem szła naprzeciw temu nowemu życiu, które ją czekało, on był zagniewany i znudzony.

Wyszli. Siedli do bryczki.

I znów chałupy wiejskie. Środkiem drogi ciągnie sznur gęsi, kołysząc się na niezgrabnych nogach. Tu i ówdzie leży świnia w błocie i ryjem swym kopie ziemię. To pies szczeknie, to gęsi przestraszone zagegają. Chłopię idzie za krową i pogania ją witką.

Antek rozmyślał:

„Nie będę tu mieszkał. Jak jechać, to jechać do dużego miasta. Żeby to do Chin albo do Turcji, albo gdzieś... Pożałuje ten pan, że mnie tu zataszczył. Albo będę mu ciągle wymyślał, albo wezmę i ucieknę”.

Znów wieś drugą mijali. Znów ten sam widok.

– Ja chcę papierosa zapalić – odezwał się nagle jak mógł najgłośniejszy, chcąc, żeby mu zabroniono.

Wtedy powie całą prawdę: „A co to pan mój ojciec, czy co? Ojciec mi pozwalał palić, a pan nie? Kupił mnie pan? Czy to ja bydlę, żeby mnie kupować, czy co? Na rzeź mnie pan wiezie, czy co? Nie chcę dalej jechać i już”.

Dobrze, niech go zmusi, niech spróbuje. Krzyku takiego

narobi, policjant przyjdzie, a ten ananas pewnie się boi policjanta. Musi, jest w tej całej historii jakaś krętanina.

– Ja chcę papierosa zapalić – powtórzył Antek.

– Ty palisz? – zapytał pan.

Stary sługa, który drzemać się zdawał, otworzył oczy.

– Co nie mam palić? – rzekł śmiało Antek.

– Ja nie mam papierosów – rzekł pan.

– Ale ja mam – odparł chłopiec.

– To zapal sobie.

Antek nie wiedział czemu, ale się zawstydził. Nieśmiało i jakoś niezręcznie wyjął papieros, kilka zapalek mu zgasło. Czuł na sobie wzrok opiekuna spokojny, myślący, smutny.

Puścił pierwszy łyk dymu, przy drugim zaciągnął się i zakasłał.

Złość go ogarnęła wściekła.

– Mańka, nie pchaj się, siedź spokojnie.

– Siądź tu, Maniu – rzekł pan, wziął Mańkę za rękę i posadził ją między sobą i starym sługą.

– Nie wiem, po co ja z panem jadę? – zaczął Antek, mrużąc pod nosem jakieś przekleństwa – i tak tu mieszkać nie chcę. Ja łaski nie potrzebuję ani opieki. Jeszcze sam ojca utrzymywałem w Warszawie. Może pan sobie Mańkę zatrzymać, jeżeli jej się tu podoba.

Antek zrobił jedno ważne spostrzeżeniu: ten pan widać go bić nie będzie. Więc trzeba z tego skorzystać.

Okolica stawała się górzysta. To tu, to tam wznosiła się pod

lasem na wzgórze chata wieśniacza. Słońce wyżej się podnosiło, ale mgła gęstymi szmatami zaścielała jeszcze pola.

Jechali tak długo, aż oto zamajaczył w dali jakiś mur wyniosły, porośły zielenią. Zza muru wystawał tylko dach budowli. Wiał stamtąd jakiś chłód dziwny i tajemnicza powaga. Mur był odosobniony, wieś ciągnęła się znacznie dalej, za rzeczką, która przepływała za murem domu.

Bryczka stanęła. Wszyscy czworo wysiedli. Powożący uchylił czapki, trzasnął batem i pojechał dalej.

Zbliżali się teraz do dziwnego domu. Droga prowadziła przez boczną aleję lipową; przystanęli przed zardzewiałą żelazną bramą. Dzwonek rozległ się głucho. Czekali długą chwilę, nim usłyszeli łoskot opadającego żelaza i wąska furka żelazna sama się otworzyła. Na obszernym dziedzińcu nie było nikogo. Z prawej strony dziedzińca było wąskie przejście, które prowadziło do ogrodu. Prócz tego przejścia całą szerokość zajmowała murowana budowla, opatrzona wielkimi ciężkimi dębowymi drzwiami.

„Hm, jakoś mi się to nie podoba” – pomyślał Antek i mimo woli obejrzał się poza siebie.

W tej chwili żelazna brama zatrzasnęła się głuchym łoskotem. Znów rozległ się stuk i drzwi dębowe otworzyły się lekko.

– Za mną, dzieci – rzekł nieznajomy.

Mańka pochwyciła Antka za rękę, jakby szukając w nim pomocy.

– Poszła precz! – syknął Antek.

III. Hrabia Zarucki

Opiekun, czy też nabywca Antka i Mańki, był hrabią Zaruckim.

Stary hrabia miał brata, z którym zerwał wszelkie stosunki od czasu ostatniej ich rozmowy, której treści nikt nie znał, a która zakończyła się podobno bardzo burzliwie. Wówczas to hrabia Stefan Zarucki wraz z żoną i dwojgiem dzieci przeniósł się do Zaruczaju i nikt go już więcej nie widział.

Prowadził on życie zamknięte w opuszczonym starym pałacu zaruckim, nigdzie nie wyjeżdżając, dnie na samotnych przechadzkach po parku i na czytaniu pism i książek, których każda poczta dostarczała mu w dużej ilości.

Gdy w dwa lata później umarła hrabiemu Stefanowi żona, poświęcił się wychowaniu dzieci. Nauczyciela nie trzymał, sam je uczył, kształcił, rozwijał.

Lekcje zimą i latem zaczynały się o szóstej rano. Tak syn, jak i córka wstawać musieli o piątej z rana i po szklance mleka i kromce razowego chleba, szli do kaplicy, która była poprzednio sypialnym pokojem zmarłej hrabiny.

Po modlitwie wspólnej przechodzono do biblioteki, gdzie pośród wielkich szaf z książkami, mapami i globusami stały dwa stoły: jeden dla syna, drugi dla córki.

Nauka trwała do godziny jedenastej, potem następowało drugie śniadanie składające się z krupniku z chlebem lub

z jajecznicy. Po śniadaniu w specjalnym pokoju odbywała się gimnastyka i szermierka. Potem czytano pisma razem, potem obiad, po obiedzie znów czytanie. Punkt o szóstej wieczorem zjawiał się rządca, z którym hrabia rozmawiał godzinę. Omawiano tu wszelkie sprawy gospodarcze, projekty ulepszeń, odbierano rachunki. Przy rozmowie tej dzieci musiały być obecne. Hrabia prowadził gospodarstwo mleczne, zarybił sadzawkę, urządził ogród owocowy i zajmował się pszczelnictwem. Dochody z tych przedsięwzięć z powodu znacznego oddalenia od stacji kolei były bardzo niewielkie.

O godzinie ósmej wieczorem dzieci szły spać, a hrabia do biblioteki, gdzie często długo w noc przygotowywał się do następnej lekcji z dziećmi.

W niedzielę szedł z nimi do kościoła stary sługa Grzegorz, hrabia przepędzał ranne godziny w swej kaplicy domowej.

Grzegorz był ciekawą postacią w tym niezwykłym domu. Syn nieznanego ojca i matki – biednej dziewczyny, która pewnego zimowego wieczoru, zziębnięta, chora przywlekła się do pałacu i tu w malignie zmarła – od urodzenia wychowywał się razem z hrabią Stefanem, młodszy od niego o dwa miesiące. Do lat dwunastu uważał się za brata hrabiego Stefana; gdy jednak, jak to bywa, odkrył mu ktoś niebaczną tajemnicę jego pochodzenia, Grześ nie chciał przebywać w pokojach, usunął się do oficyny i żadne namowy nie mogły go skłonić, by zajął dawne swe stanowisko. Z wiekiem stawał się coraz małowówniejszym i prócz krótkich odpowiedzi nie mówił nigdy i z nikim. Stał się

najwierniejszym sługą, niczym więcej być nie chciał.

Dla dzieci hrabiego Stefana był już opiekunem poniekąd, opiekunem czujnym i równie milczącym.

Tak rzeczy stały aż do chwili, gdy syn hrabiego Stefana, młody hrabicz Zarucki, ukończył lat dwadzieścia, a siostra jego lat dwadzieścia trzy.

Stary hrabia zachorował. Próbowano go skłonić, by wezwał lekarza. Pytano, czy nie zechce pogodzić się z bratem. Odmówił. Napomknięto o księdzu. Hrabia zgodził się na odwiedziny księdza. Był to pierwszy gość, prócz rządcy, który od lat piętnastu odwiedził zamek.

Ksiądz długo rozmawiał z chorym i wyszedł cicho, jak był wszedł do tego milczącego przybytku.

Dziwny był stosunek chłopów do hrabi. Szanowali go, naśladowali jego ulepszenia w swych małych gospodarstwach, ale stronili od parku, stronili od pałacu, bali się nie tylko samego hrabiego, nie tylko jego domu, ale bali się i starego Grzegorza, i rządcy, który codziennie chodził do hrabi.

Gdy wieść o chorobie pana rozeszła się po wsi, więcej z ciekawością niż z niepokojem, więcej ze zdziwieniem niż ze współczuciem, przewidywali śmierć jego. Tak im się dziwnym wydawało, że hrabia może umrzeć. Czekano na nią tydzień, dwa, trzy tygodnie. I oto zamiast śmierci, dowiedzieli się, że hrabia będzie otaczał murem swój pałac. Zaczęła się praca. Park odcięto od zabudowań. Pozostał tylko pałac i podwórzec. Z Warszawy przywieziono wielką żelazną bramę,

którą przymocowali sprowadzeni z miasta robotnicy. Praca trwała miesiąc niespełna i znów ucichło wszystko. Tylko lud bardziej jeszcze unikał czerwonego muru, po którym pięły się pierwsze pędy zasadzonego dzikiego wina.

Mówiono o tym wiele wśród ludu, mówiono w okolicy, ale że nowych wieści nie było, więc rozmowy ucichły.

I rządcą nie przychodził teraz do dworu, tylko stary Grzegorz odbierał od niego raz na tydzień rachunki.

Hrabia podobno znalazł w rękach syna list od stryja; list ten wręczył mu rządcą, dlatego obmurowano dziedziniec i rządcy zamknięto wstęp do pokojów.

W ogrodzeniu pozostał stary hrabia, syn i córka, Grzegorz i kucharka głucha zupełnie, więc nieszkodliwa.

Minęły dwa miesiące i brama żelazna otworzyła się w dzień niezwykły.

Młody hrabicz wyszedł sam i końmi rządcy pojechał na stację.

Gruchnęła wieść, że syn nie chciał złożyć ojcu przysięgi, iż po jego śmierci nie wyjedzie z Zaruczaju i nie przeprosi się ze stryjem. Więc ojciec kazał mu natychmiast usunąć się z domu.

Młody Zarucki przyjechał do stryja. Stryj kilka razy próbował pogodzić go z ojcem. Pisał listy – wracały nieodpieczętowane. Wysłał list do Grzegorza – nie otrzymał odpowiedzi. Sam pojechał – nie otworzono mu bramy.

Po trzech tygodniach bezskutecznych prób pogodzone się z myślą, że hrabia Stefan skutkiem silnych wstrząśnień, jakie przeżył, zachorował na umysł i cierpieniem swym chce zgubić

dzieci.

Stryj postanowił pokazać światu bratanka. Gdy pragnął go wziąć do siebie, sądził, że będzie musiał go przygotować odpowiednio, że pracy będzie miał wiele. Zdziwił się niepomnie, zobaczywszy, że młody Zarucki jest nie tylko człowiekiem wykształconym, nie tylko zna języki i ma obszerne wiadomości ze wszystkich gałęzi wiedzy, ale posiada oryginalne wyrobione zdanie o wszystkim, czego nie mógł znać, żyjąc w pustelni: dokładnie zna całą literaturę bieżącą, zna z najdrobniejszymi szczegółami cały ruch umysłowy świata i Warszawy.

Niezwykłe dzieciństwo i okres młodzieńczy młodego hrabi, a także i wieść, że ma on zostać spadkobiercą olbrzymiej fortuny bezdzietnego stryja, dodawały mu uroku. Przyjęto go jako króla sezonu. Był rozrywany, uwielbiany. Pokazywano go sobie na ulicy. Bogaty stryj, opiekun, dumny się czuł ze swego bratanka, dzięki któremu sam nabrał znaczenia i rozgłosu. Nie żałował też młodemu niczego, pozwalał mu na wszystko.

A młody Zarucki z cichej, bezludnej, więziennej celi, ze spartańskiej wstrzemięźliwości dostał się w wir zabaw i uciech. Rzucił się on z całym zasobem zdrowia, inteligencji i środków materialnych w to nowe dla niego życie.

W miesiąc niespełna wchłonął w siebie wszystko, co go otaczało, powiązał to, co widział, z tym, co wiedział – szalał nadmiarem sił młodości.

Od balowej sali, gdzie nęciły go urocze uśmiechy i nagie

ramiona, biegł do warsztatu rzemieślnika, by przyjrzeć się jego pracy, od fabryki wyrobów żelaznych biegł do klubu, z teatru szedł do schronienia dla nędzarzy, zwiedzał kolejno gabinety pierwszorzędných restauracji i sale szpitalne, i wszystko go jednakowo zajmowało.

Jeśli był wszędzie, jeśli widywano go na przemian na ulicach Powiśla i w gronie wesołej młodzieży na przedstawieniu w tingel-tanglu¹², to wypytującego kasjera o stosunki banku, to znów rozmawiającego z pościańcem o jego dziennym zarobku, to pocieszającego jakieś biedne dziecko, które zgubiło dziesiątkę, daną mu na kaszę – czynił on to nie dla zyskania sobie popularności, ale dlatego, że chciał wszystko słyszeć i widzieć, i pracować – działać, czynić.

Ale trujące wyziewy miasta nie mogły nie oddziaływać na tę duszę dziewczęcą, wrażliwą. Liściki bezimienne, które otrzymywał w wonnych kopertach, zalotne spojrzenia, sieci, które zastawiano na jego młodość i majątek, atmosfera zbytku, którą go stryj otoczył, miękka pościel i zapach perfum, trunki słodkie, łagodne zda się, a tak niebezpieczne, odejmujące rozum – uczyniły szczyrby w jego charakterze.

Stąd pochodziło właśnie, że mógł on dnia jednego złożyć znaczną sumę na nową instytucję dobroczynną, dopomóc stolarzowi do wykupienia się z długów lichwiarskich i przegrać potrójnie wielką sumę w karty.

¹² *tingel-tangel* (daw.) – podrzędna kawiarnia lub restauracja z występami tancerzy, kabaret. [przypis edytorski]

A stryj nie bronił mu niczego. Sam stary zniszczony, chory, wiecznie duszący się w napadach astmy, ożywił się życiem młodości, to mu sprawiało ogromne zadowolenie.

Co myślał sobie stary hrabia Stefan Zarucki, gdy dochodziły go za pośrednictwem prasy niektóre szczegóły z życia syna?

Jednakże zaszedł wypadek, który zmusił stryja do postawienia swego zakazu. Młody Zarucki zakochał się w jakiejś dziewczynie, którą spotkał gdzieś na poddaszu podczas swoich wycieczek, i postanowił z nią się ożenić. Próżno stryj tłumaczył mu i przekładał, że on tego nie powinien i nie może zrobić. Należało chwycić się ostatecznego środka: wyjechać za granicę. Tak też uczynił.

I znów młody Zarucki podziwiał cuda natury i cuda ludzkiego talentu i pracy, a stary był zdumiony. Gdy wchodzili do galerii obrazów, młody hrabia dokładnie wiedział, jakie tu mieścić się powinny znakomite dzieła. Gdy zwiedzali starożytną świątynię, opowiadał mu jej historię. Stary Zarucki rozumiał, że brat jego musiał być znakomitym nauczycielem, prawdziwym wychowawcą. Nie tracił on czasu nadaremnie i w ciszy pustelnej prawdziwie kształcił swe dzieci.

W Rzymie otrzymali wiadomość o śmierci starego hrabi. Syna piorunem razila straszna wiadomość. Czy uczuł wielkie wyrzuty sumienia, czy kochał starego ojca, dziwaka, czy przywykł do myśli, że ten złamany, wyniosły, wspaniały starzec, uczony, marzyciel, musi żyć wiecznie – dość, że rozpacz jego cicha, zamknięta w sobie, granic nie miała. Noc całą siedział nad

fatalną gazetą, która mu wieść tę zwiastowała, siedział z głową opartą na dłoniach, z oczami utkwionymi w czarne czcionki nekrologu.

Pisano o ojcu niewiele i wstrzemięźliwie. Dodawano, że wiadomość o zgonie jest spóźniona o tydzień, co należy tłumaczyć odosobnionym życiem, jakie hrabia prowadził.

Młody Zarucki rozumiał, że na pogrzeb jest już za późno.

W rzeczy samej, gdy przyjechał ze stryjem do Zaruca, ujrzał już na cmentarzu świeżą mogiłę.

Zwykła bryczka, którą stary Grzegorz jeździł po gazety, wiozła Zaruckiego do mogiły. W okolicy o śmierci jego dowiedziano się dopiero w dniu pogrzebu.

Trumny zamawiać nie było potrzeba, gdyż hrabia spał w trumnie od lat wielu...

Zakołatano do żelaznej bramy. Nikt nie otwierał. Stukano kilka razy, nie było odpowiedzi. Młody Zarucki napisał list do siostry, błagał, by wyszła z tego kamiennego grobu, by nie poddawała się chorobliwym zaklęciom zmarłego. Nic nie pomogło. Odpowiedź była krótka, ale jasna:

„Zostaję wierna pamięci ojca, ty idź swoją drogą. Irena”.

Wyjechali.

I znów ani chłopci, ani sąsiedzi nie mieli tematu do gadaniny. Czerwony mur zarastał winem i cisza panowała głucha. Tylko, mówiono, w nocy hrabia wychodzi z grobu i pilnuje bramy. Podobno wielu go tam widziało. W poniedziałek rano Grzegorz wyjeżdżał swą bryczką na pocztę, brał od rządcy rachunki i nic

więcej. Straszono dzieci tymi murami, a pastuszkowie omijali łąkę, która dotykała parku.

Młody Zarucki wyjechał znów za granicę, ale nie szukali już teraz miast, lecz obrali sobie siedzibę w uroczej miejscowości nad morzem.

Hrabia po śmierci ojca zmienił się nie do poznania. Pierwsza chwila oszołomienia minęła, nastąpił zwrot. Ta cisza całego dzieciństwa, praca ciągła i życie proste, potem nagły hałas, wir, gorączka życia po grobowej ciszy, moc wrażeń po jednostajności – nie mogły nie wywrzeć wpływu na młodym człowieku, nie mogły nie nadszarpnąć jego nerwów.

Przycichł teraz, szukał spokoju.

I stała się rzecz dziwna, nieprzewidziana: młody Zarucki zakochał się nagle w pięknej żonie węgierskiego magnata.

Miłość zaczęła się od spotkania, po którym nastąpiła długa rozmowa. Trzeba wiedzieć, że hrabią interesowano się niezmiernie, gdyż i tu już dosięgły pogłoski o jego ojcu pustelniku i o nim. Żona magnata może zainteresowała się nim, może poszukiwała rozrywki pod nieobecność męża, a może chciała zaimponować damom, że to jej pierwszej udało się wyrwać hrabiego z ukrycia, w którym chciał przebywać po śmierci ojca.

Młodzieniec zakochał się. Była to miłość silna, miłość człowieka, któremu obce było dotychczas to uczucie, gdyż nie można liczyć miłostki chwilowej dla jakiejś prostej dziewczyny z poddasza. Po raz pierwszy dopiero ukazała mu się kobieta

owiana czarem niezemijskim, kobieta – pokusa.

Zarucki nie posiadał daru kłamstwa, które wyrabia życie i styczność z ludźmi. Nie krył się ze swym uczuciem. Pokochał ją, więc jej nie odstępował, bywał z nią na koncertach, w teatrze i na balach. W swym pięknym salonie uroczą kusicielką wśród wybuchów śmiechu uczyła go sztuki tańca. A uczeń był dziwnie pojętny.

Zarucki nie rozumiał, że miłość swą dla mężatki należy ukrywać. Ona śmiała się: bawił ją ten tryumf.

I tym razem stryj próbował stłumić uczucie synowca, ale gdy się spostrzegł, było już zbyt późno.

Tymczasem historia stawała się głośniejszą, zjawił się mąż pięknej Węgierki.

Zarucki był szczery jak dziecko, Węgier był obłudny. Zarucki serdecznie ścisnął dłoń człowieka, który był mężem jego ideału.

Magnat ścisnął jego dłoń, a przygotowanym był uczynić podłość.

Umówili się raz pewnego w klubie. Grano w karty. Węgier przegrywał, był blady i rozdrażniony. Zarucki, wiedziony przecuciem ludzi nerwowych, rozumiał niebezpieczeństwo grożące. Był smutny, niespokojny.

Wreszcie postanowił rozmówić się z rywalem.

Gdy oddalili się od grających i siedli pod cieniem palm przy stoliku, gdy Zarucki wypił parę kieliszków szampana, zaczął mówić pierwszy.

– Pan wiesz, że pokochałem pańską żonę.

– Wiem o tym. Ale po co pan mi to mówisz? – zapytał obojętnie.

– Bo żona pańska również mnie kocha.

– O tym nie wiedziałem jeszcze. – Oczy mu błyszczały, siłił się na spokój. – Czy pan przekonany jest o tym?

– Tak, panie.

– Czy ona to panu mówiła?

– Nie, ale to się czuje.

– Za mało pan zna jeszcze kobiety, by móc o tym sądzić – zawołał dość głośno Węgier.

– Panie, pan tak dziwnie mówi.

– Ja sędzę, że to pan raczej dziwnie mówi.

– Dlaczego?

– Opowiada pan mężowi, żeś romansował z jego żoną.

– Przepraszam, ja nie romansowałem.

– Tylko?

– Tylko... my się kochamy.

– Ależ raz jeszcze pytam: skąd pan wie, że ona pana kocha?

– Pocałowała mnie w usta.

– To jeszcze niczego nie dowodzi – rzekł z uśmiechem Węgier.

– Jak to, pan żartuje?

– Śmieszny pan jest.

– Więc dobrze: jeśli pan się przekona, że ona mnie kocha, czy pan zgodzi się, bym...

– Oddać ją panu na własność?

– No, tak...

– A jeśli ja ją Kocham także?

– Nie, pan jej nie Kocha.

– Dość tej paplaniny – przerwał Węgier. – Wróćmy do kart.

Węgier śmiał się, żartował. Gdy kolej do rozdawania kart doszła do Zaruckiego, Węgier ucichł, nagle pochwycił go za rękę i zawołał:

– Jesteś pan oszustem.

Dzień pojedynku oznaczony został na rano następujący, by nikt nie mógł mu przeszkodzić. Wybrano sekundantów, broń, umówiono się co do warunków. Nasamprzód pałasz¹³, nie dłużej nad pięć minut. Potem broń palna. Podobno obaj zapaśnicy władali bronią doskonale.

Hrabia oka nie zmrużył tej nocy. Nie obawa spać ma nie dawała, ale jakieś myśli straszne, gdzie występował i ojciec, i siostra, i ta Warszawa hałaśliwa, i galerie obrazów, i brama żelazna w Zaruczaju, i wspaniałe hotele, i ona, ta cudna, i on jej mąż, i ten policzek, i to oskarżenie nikczemne.

Przybył na plac błądy i chory.

Niedbale wziął do ręki pałasz i niedbale, nie poruszając się z miejsca, odbijał wściekłe uderzenia Węgra. Widać było, że nie napada, że się nawet nie broni, lecz machinalnie, z myślą o czym innym, powtarza wyuczony ruchy i obroty. (Ojciec musiał być doskonałym nauczycielem). Węgier wpadał we wściekłość, Zarucki poczynał się nudzić. Coraz mniejsze ruchy robiła jego

¹³ pałasz – broń biała o długiej, prostej klindze. [przypis edytorski]

ręka. Sekundanci nie pamiętali podobnego pojedynku. Zdawało się, że Zarucki opuści broń lada chwila.

– Koniec! – rozległa się komenda.

Węgier zrobił ostatnie pchnięcie. Ostatni raz rozległ się chrzęst żelaza.

Hrabia zachwiał się nagle i upadł.

– Raniony?

– Nie, zemdlał tylko.

Zawieziono go do hotelu, wezwano lekarza, Stryj niczego nie pominął, aby ocalić swą dumę, swego ulubieńca.

Młody chorował ciężko i długo. Jakieś majaczenia straszne, jakieś widma go nawiedzały. Zrywał się, mówił, wołał, to błagał ojca o przebaczenie, to wzywał jakąś dziewczeczkę, którą porzucił bezlitośnie, to całował usta cudnej Węgierki, to znów zrywał się, rzucał, wywijając ręką jak w pojedynku.

Gdy się zbudził z maligny po wielu tygodniach, oczy jego patrzyły mętnie, nieśmiało.

I gazety rozniosły wieść, że bohater historii romantycznej, która tak zainteresowała świat cały, młody hrabia Zarucki – zwariował.

Czy to był obłąd? Trudno odpowiedzieć. W każdym razie był to jakiś dziwny stan. Chwilami hrabia wpadał we wściekłość, tłukł, łamał, krzyczał, ale miał świadomość zupełną swych czynów i słów. To znów następował stan osłupienia, bezgranicznego smutku.

– Nie powinienem był opuszczać mego grobu. Tylko spoza

murów kamiennych człowiek może przypatrywać się rozumnie tej tragikomedii, która zwie się życiem. Brać udział w tym lichym przedstawieniu, serce w nie kłaść, duszę nie warto.

To znów zrywał się do działania:

– Nie wolno usuwać się, nie wolno robić sobie widowiska z łez i cierpień ludzkich. Należy wejść między ludzi, cierpieć, a pracować, cierpieć i łzy ocierać.

Wówczas brał garść srebra, wychodził z lekarzem na miasto i rozdawał jałmużnę.

I znów następowało zniechęcenie.

– Nie, jałmużna, złoto to nie działanie. Kto tak rozumie swoje obowiązki, ten źle je rozumie, nie pojmuje ich wcale. Od razu należy oddać cały majątek i później w nędzy na chleb zarabiać, i wówczas czynić dobrze.

A nad wszystkimi uczuciami górowała tęsknota za siostrą.

– Stryju, musisz mnie pogodzić z siostrą. Ja chcę ją widzieć, inaczej zwariuję. Toż dwadzieścia lat jeden grób nas ukrywał, ja nie mogę, nie mogę jej nie widzieć dłużej.

W okresie choroby poznał był Zarucki młodego lekarza, Polaka, przywiązał się do niego całą duszą i wymógł obietnicę, że się nie rozłączą.

W tym właśnie czasie, kiedy Zarucki przychodził do zdrowia, nawiedził stryja trzeci atak apoplektyczny i stary w kilka godzin umarł, pozostawiając bratankowi ogromny majątek.

I znów nawiedzały młodego hrabię dawne lęki. Lekarz nie odstępował go ani na chwilę.

– Gdzie się obróćę, wszędzie groby, groby, groby – wołał, trzęsąc się z trwogi. – Nic dziwnego, w grobie wychowany, śmierć niosę, zarazę. Zabijcie mnie, spalcie, a prochy moje ukryjcie głęboko, by z nich zaraza nie powstała.

A w chwilach smutku szeptał bezradnie:

– Ja chcę do siostry. Ja tęsknię.

I znów mały świeatek zaruczajski wstrząśnięty został do głębi.

– Młody wariat ma przyjechać – gruchnęła wieść z początku wśród chłopów, potem w okolicy. – Hrabianka zgodziła się go przyjąć, bo ukazał jej się podobno nieboszczyk ojciec i powiedział, że młodemu rozum wróci, gdy znów zamieszka w Zaruczaju.

Na dnie każdej gadaniny, choćby najgłupszej, jest jakiś okrucuch prawdy.

W rzeczy samej, pewnego pięknego poranku zajechali przed bramę pałacu hrabia i jego doktor na wynajętym wózku chłopskim.

Gdy wysiedli przybyli, chłopiec zaciął konie i co tchu uciekał, i opowiadał potem, że czuł jakieś dziwne zimno, że widział cień starego, choć to był ranek jasny, a nieboszczyk tylko w nocy przecież wychodzi z grobu.

– Widać na spotkanie syna wyszedł.

I znów cisza zapanowała we dworze, i jeszcze staranniej mur obrośnięty winem omijano. Raz krowa się tam zabląkała i poczęła dawać krwawe mleko. Kobieta pewna słyszała jakieś jęki idące ode dworu. Prawda i to, że krowa dawno już

była chora, a kobieta, która słyszała jęki, była nałogową pijaczką i kazała sobie niejedną kieliszek postawić, nim wszystko dokładnie opowiedziała. A gdy już sądzono, że nic więcej powiedzieć nie może, dodawała stale:

– A jak postawicie, kumie, jeszcze jeden *harak*¹⁴, to wam najciekawsze opowiem.

I niby to ludzie nie wierzyli słowom pijaczki, mimo to *harak* jej stawiali.

Znów czasu sporo upłynęło, aż tu dnia pewnego hrabia młody z Grzegorzem i doktorem wyjechali. W parę dni później doktor wrócił z robotnikami z Warszawy. Robotnicy kilka dni coś tam majstrowali, na wieś ani razu nie wychodzili, a potem razem z doktorem („czy kto go tam wie” – jak mówiono) wyjechali na stację.

Doktor wrócił, a w trzy dni później hrabia z Grzegorzem i dwojgiem dzieci przyjechali do Zaruczaju. Wiadomość ta jak grom uderzyła w świat zarucki.

– Co to za dzieci? skąd? jak? co z nimi zrobią?

Jakkolwiek Antoś i Mańka nic nie wiedzieli o dziwnej historii ich nowego mieszkania, ani o ich nowych opiekunach, jednakże mocno serce im biło, gdy wchodzili przez wielkie drzwi dębowe do ciemnego korytarza.

¹⁴ *harak* (ar. *arak*) – napój alkoholowy z ryżu lub trzciny. [przypis edytorski]

IV. Zwierzenia

Nazywaliśmy kilkakrotnie grobem pałac w Zaruczaju. Wstąpmy więc wraz z Mańką i Antkiem do tego grobu i przyjrzyjmy się mu szczegółowo.

Korytarz, jak się rzekło, był ciemny i długi; po obu stronach korytarza były drzwi, które prowadziły do pokojów. Pokojów tych było po trzy z każdej strony: biblioteka, sala gimnastyczna, stołowy, dwa mniejsze pokoje i gabinet hrabiego. W bibliotece, która mieściła się w ogromnej sali z wielkimi oknami wychodzącymi na ogród, nie było szaf, tylko półki, na półkach ponumerowane książki, a numerów tych było z górą pięć tysięcy. Sala do gimnastyki prócz przyrządów, zawieszonych na suficie sznurów, kółek, trapezu, drygów i porozwieszanych na ścianie szpad, rusznic i masek drucianych – nie zawierała nic. W stołowym środek pokoju zajmował wielki stół dębowy, przy nim krzesła; pod ścianą stał wielki kredens dębowy, na ścianach portrety przodków rodziny Zaruckich. Gabinet hrabiego posiadał biurko wielkie, fotel, ceratą kryty, globusy, mapy, książki, papiery i wielką ogniotrwałą kasę.

A do dwóch małych pokoików wprowadzono osobno Antosia i Mańkę.

Mańka, pozostawszy sama, usiadła na krześle i senna, znużona, oparła głowę na dłoniach i zamyśliła się.

Za to Antoś rozglądał się po swym pokoju uważnie.

„Pi! pi! Jest łóżko, szafka, stół, dwa krzesła, umywalka. Okno wychodzi na ogród, Wcale nieźle. Tylko że tu chyba będzie piekielnie nudno – pomyślał sobie. – Ano, zobaczymy”.

Ta cała awantura zaczynała mu się teraz podobać. Gdyby to towarzysze z Warszawy wiedzieli o jego przygodzie, dopieroż by się zdziwili – dopieroż by on urósł w ich oczach, no, no!

W szafce tkwił klucz; otworzył ją. Pół szafy zajmowały półki, na których poukładana była bielizna.

– Pi! pi! dwanaście czystych koszul – powiedział półgłosem – to ci pycha dopiero. Ciekawym, czy mi to pozwolą zabrać ze sobą.

Drugą połowę szafy zajmowały ubrania: palto, spodnie, bluza.

– Wcale nieźle, wcale nieźle – ciągnął Antoś – tylko warto by coś zjeść przecież.

W tej samej chwili wszedł stary Grzegorz i na tacy przyniósł mu dzbanek mleka, chleb i cukier.

– Pan prosił, żebyś się umył przed śniadaniem – rzekł służący i wyszedł.

– Ano, umyć się to umyć. Zabawna historia sobie. Tylko mogłoby tu być trochę ciepłej.

Antek umył ręce i twarz (szyi i uszów nie mył prawie nigdy) i zasiadł do śniadania.

– Dobrze mleko, jak prababkę kocham. A chleb jaki, phi!

Położył się w ubraniu na łóżku:

– Fu, twarde łóżko. A ja myślałem, że tu będą ci takie puchy, jak u szynkarza, albo i lepsze. No, trudno.

Wyjął ostatni papieros, który mu pozostał z wczorajszego zakupu, i zapalił.

– Żyć nie umierać. Tylko żeby tak zawsze było. I żeby tu znaleźć kolegów jakich.

Z zagasłym papierosem w ustach Antek usnął.

I Mańka spała.

W jednym z górnych pokoiów zebrali się tymczasem: hrabia, hrabianka, lekarz – i radzili.

– Dzieci te pochodzą z najgorszej rodziny pijackiej – mówił hrabia – wpływy miały jak najgorsze. Charaktery ich są zupełnie różne. Dziewczynkę łatwo nam będzie wprowadzić na odpowiednią drogę, ale z chłopcem, zdaje mi się, nie poradzimy sobie tak łatwo. Jest zepsuty, zdaje się, że mu nieźle było w domu, i jest uparty, samodzielny.

– Co robić teraz? – zapytał lekarz.

– Ja sędzę – zaczęła hrabianka – że należy pozostawić je przez pewien czas samym sobie: niech rozmyślają, rozważają. I tak nagle zmiana musiała podziałać na nie silnie.

– I ja tak sędzę – rzekł lekarz – ale jeśli zauważymy, że samotność i bezczynność im ciąży zbyttnio.

– Ja twierdę – rzekł hrabia – że przede wszystkim należy je obserwować nieustannie.

– To było już postanowione.

– I tego trzymać się musimy ściśle. Więc kto z nas idzie na wartę?

– Ja pójdę – rzekł lekarz i wszedł do sąsiedniego pokoju,

z którego przez dwa niewielkie otwory widać było cały pokój Mańki i Antosia.

Hrabianka udała się do kaplicy na modlitwę, hrabia zeszedł do swego gabinetu, i na przygotowanych dwóch grubych zeszytach położył dwa napisy: na jednym Antoś, na drugim: Mania.

Potem wziął pierwszy i równym drobnym pismem zaczął kreślić historię spotkania i kupna Antosia, historię, która znana jest czytelnikom z pierwszego i drugiego rozdziału niniejszej powieści.

Zejdźmy do pokoju Mani i przyjrzyjmy się śpiącemu tam dziecku.

Mania spała niespokojnie. Wzdychała ciężko, jakieś urywane wyrazy wybiegały z jej ust, ręką przyciskała czoło, na policzki jej wystąpiły rumieńce. A jednak się nie budziła.

O zmierzchu do pokoju jej weszła kobieta, zapaliła lampę wiszącą wysoko i zbudziła ją.

– Niech się Mania rozbierze i położy.

– Co? – zapytała Mańka, szeroko otwierając oczy. – Gdzie ja jestem?

– Proszę do mnie nie mówić, bo jestem głucha.

– Ale gdzie ja jestem?

– Nie słyszę. Proszę się rozebrać i położyć.

I wyszła.

Dziewczyna usiadła na łóżku i przypominała sobie z trudnością całą historię dnia ubiegłego.

– Ach, tak!

Przypomniała sobie.

Ale co jej ta kobieta mówiła?

– A, prawda, mam się rozebrać.

Rozebrała się ze swych łachmanów, zarzuciła je na poręcz łóżka, położyła się, ale już zasnąć nie mogła.

Zegar wybił godzinę dziewiątą. Lampa, przyćmiona zielonym kloszem, słabo rozpraszała ciemności. Manię przestraszył dźwięk zegara. Nakryła się kołdrą na głowę.

Jest sama! Tam, w Warszawie, miała matkę pijaczkę, a teraz nie ma nikogo.

Było jej gorąco. Wysunęła głowę spod kołdry i wzrok jej padł na krzyż, który zawieszony był nad łóżkiem.

– Co matka sobie myśli? Dostała przecież pieniądze. Pewnie ją ojciec Antka oszukał. Dziewiąta godzina... Pewnie jest w szynku. Co to za głucha kobieta tu była? Gdzie Antoś? Co z nim zrobili? Dlaczego go nie widziała tu w pałacu? Antek palił papierosa. Ten pan tak strasznie patrzył. Ojciec Antka – pijak.

Myśli jej się wikłały, zapadała w ten stan, który poprzedza sen, ale nie zasypiała.

Zdawało jej się, że wiszą nad nią dwie olbrzymie donice piasku i jakaś niewidzialna ręka przesypuje piasek z jednej donicy do drugiej. Za każdym razem część piasku wysypuje się na nią, piasek jest gorący i ciężki, i lada chwila całą ją przysypie.

To znów starała się połączyć kawał drzewa, który miała w ustach.

Zegar wydzwonił dziesiątą. Drgnęła, obudziła się. Pot

kroplisty spływał jej z czoła.

– Spała czy nie spała?

Nie, nie spała. Przecież i teraz nie śpi, a jednak widzi to wszystko tak wyraźnie, słyszy tykanie zegara.

I nagle usłyszała jakiś szept cichy i rozróżniła płynące ku niej z góry wyrazy:

– Idź do niej!

To wstrząsnęło nią, Kto to mówi? Do kogo? Do niej, Mańki. A do kogoż ona ma iść?

I dziecię matki-pijaczki, dziecię, przez występłą, upadłą matkę katowane, jęknęło boleśnie i bezradnie:

– Mamo!

I przeraziło się dźwięku swego głosu, obcego mu i jakby pchane siłą wyższą, znów zawołało:

– Mamo, mamó, mamó!

Łzy puściły się Mańce z oczu strumieniem.

W tej chwili drzwi się cicho otworzyły i we drzwiach stanęła hrabianka Irena w czarnej obcisłej sukni, i wzrok jej łagodny spotkał się z rozognionym wzrokiem Mańki. Kobieta ta dziwnie podobną była do tego pana, który ją tu przywiózł.

„Może to on zamienił się w kobietę?” – przemknęło przez myśl dziecku w gorączce.

Hrabianka zbliżyła się do łóżka Mańki, uklękła przy nim, jedną rękę wsunęła pod poduszkę, a drugą otoczyła drobną postać Mańki.

Dziewczynce oddech zamarł w piersi.

– Maniu, dlaczego nie śpisz? – szepnęła cicho.

– Bo się boję, strasznie się boję.

– Czego się boisz, Maniu?

Jakiś smutek i wielka życzliwość, i pieczołowitość dźwięczały w głosie kobiety.

– Nie, Maniu, nie należy się bać. Jesteś wśród dobrych ludzi, dziecko moje. Uspokój się, zaśnij.

– Nie mogę.

Złożyła na rozpalonej główce dziecka, cichy pocałunek.

– Biedne, dobre dziecię moje.

Mania wstrząsnęła się.

– Dlaczego mnie pani całuje?

– Bo cię kocham.

– A za co mnie pani kocha?

– Za to, że cierpisz, dziecino.

– A skąd pani wie?

– Czuję to, maleńka moja.

Te trzy pytania Mańka wyrzuciła ze siebie jednym tchem prawie, rzucając je jedno po drugim.

– Co pani za jedna? – zapytała znów Mania.

– Jestem tą, która pragnie zastąpić ci matkę.

– Ja przecież mam matkę.

– Ale twoja matka jest nieszczęśliwa.

Po długiej chwili milczenia Mańka mocnym, stanowczym głosem rzekła:

– Moja matka nie jest nieszczęśliwa, ale jest podła i ja jej

nienawidzę. Ja bym... ja bym ją... ją... zamordowała. Ona...

– Nie mów, Maniu, teraz. Staraj się usnąć. Pomówimy o tym jeszcze. Śpij, Maniu.

– Ale pani tu zostanie?

– Zostanę.

– Całą noc?

– Całą.

– Niech się pani położy tu przy mnie.

– Nie, Maniu, mnie tak dobrze.

– Ale pani nie pójdzie, bo ja się boję.

– Zostanę tu przy tobie.

Zamknęła oczy i starała się usnąć, ale myśl, że znów zostanie sama, odganiała sen z jej powiek.

Po długiej chwili ciszy otworzyła znów oczy i spotkała się ze wzrokiem nowej opiekunki. Usta kobiety poruszały się w szepcie.

– Co pani mówi?

– Modlę się.

– O co?

– O twoje szczęście.

– Nie o swoje?

– Nie.

– I ja się modliłam dzisiaj, ale o swoje szczęście. Prosiłam pana Jezusa, żeby ten pan, z którym jadę, dał mi bardzo dużo pieniędzy i żeby mogła matce rzucić w twarz jakieś sto albo tysiąc rubli i bić ją, bić, aż by krew płynęła. O, za pieniądze ona

pozwoliłaby się bić.

– Maniu, twojej modlitwy pan Jezus nie wysłuchał.

– Dlaczego?

– Bo to była zła modlitwa.

– To są złe i dobre modlitwy?

– Tak.

– A dlaczego to była zła modlitwa?

– Pomyśl sama.

– Pewnie dlatego, że chciałam bić matkę.

– Tak, dziecko.

– O, pani nie zna mojej matki

Mańka oparła głowę na dłoniach, uniosła się na poduszce i mówiła.

– Pani nie wie, że matka zabiła ojca mojego. Nie znałam ojca, bo umarł, kiedy miałam trzy lata. Wcale go nie pamiętam. Ale ona mi to sama mówiła. Mówiła mi: „Ty gadzino, ty duszo podła, ja ciebie tak zatłukę jak twego ojca zatłukłam”. A wie pani, za co matka mnie biła? Bo jak ojciec umarł, to matka wyszła za męża za innego. I ten był taki sam, jak ona. Bili się ciągle i mnie bili. Potem on gdzieś się podział. Ale było jeszcze gorzej, bo potem matka miała znów innego męża, potem znów innego. Ja miałam siedem lat. Musiałam im usługiwać. A ona chciała, żebym ich ojcami nazywała, a ja mówiłam, że nie chcę. To mnie biła i głodziła. Wyganiała mnie, żebym żebrała. Ojciec jak umierał w szpitalu, to ciągle tylko prosił, żeby mnie u niej nie zostawiono. Ale do kogo miałam iść, co? Jakem już była duża, to mnie się

bała. Jak przyszła pijana tak, że nie miała sił się ruszyć, tom ją ją biła.

Ale czy ona wiedziała, co się z nią dzieje? I co ja jej tam mogłam zrobić? Drapać bałam się, bo by się domyśliła, że to ja jej zrobiłam, a tak to myślała, że się przewróciła i uderzyła. Ale i tak potem biła mnie. Wie pani, ja chciałam się powiesić. Już przystawiłam stółek, ale był za mały, więc poszłam po Antka, żeby mi pomógł stół przystawić. On się zaraz domyślił, bo niby to nic, pomógł i wyszedł. Ale stał przy drzwiach i patrzył przez dziurkę od klucza. On mi mówił później... Postawiłam stółek na stole, uwiązałam sznurek i już wchodziłam, a on wpadł i zawołał:

„Mańka, co ty robisz?”. Złękłam się i spadłam na ziemię. Wtedy Antek poszedł do ojca i powiedział mu. Właśnie od tego ojca Antka to ten pan nas kupił. Ojciec Antka przyszedł i powiedział matce: „Słuchaj, powiada, jak jeszcze raz ją ruszysz, to cię na policję oddam”. Matka się z nim kłóciła, ale się złękła. Bo ona w cyrkule to ze sto razy siedziała. Ach jaka ja wtedy byłam szczęśliwa! Ale podobno za to bicie mnie mogła iść do prawdziwej kozy z kajdanami. Więc potem prosiła, żeby nic nie mówił. Bo i sąsiedzi wdali się w to. Jeden mieszkał w naszym domu stolarz, taki poczciwy, jak pewnie był mój ojciec. To ten stolarz mówił, że on będzie świadczył. Tylko żona jego odciągała i mówiła: „Co będziesz się po sądach włóczył, tyle ta dziewczyna warta, co i matka”. Bo ona była zła na mnie.

Więc potem to ojciec Antka zaczął płacić za mnie mojej matce dwa złote dziennie, a ja jemu oddawałam to, co zarobiłam.

Musiałam pół rubla zarobić, bo on chciał mieć na mnie czterdzieści groszy dziennie. On ciągle się z matką kłócił, bo matka wiedziała, że ja więcej zarabiam. Ale on groził matce kryminałem, więc matka tylko na mnie się mściła. Ale potem to i mnie się bała, bo mówiłam także, że ją oddam do sądu. A ojciec Antka to mnie tylko za uszy targał albo dał szturchańca, albo rękę wykręcał. Ale w twarz nie bił, bo nie chciał, żebym miała sińce. Bo jak byłam ładniejsza, to więcej dawali mi za kwiaty.

Czasem mu oddawałam wszystko, a czasem jak zarobiłam więcej, to kupowałam pierniki, czekoladę i karmelki. Ale jak miałam mniej, to Antek mi zawsze dawał, bo on mnie kocha i ja jego także. Chociaż on już teraz nie jest taki, jak dawniej. Mówił mi to sam: „At, śmieją się ze mnie tylko przez ciebie; nawet się pocałować nie dasz, jak jaka hrabina albo co”. Ale ja sobie myślałam zawsze, że to nic nie szkodzi, bo jak on pójdzie ode mnie, to się powieszę i już.

Mańka skończyła. Oczy jej lśniły jak dwie główne, z twarzy krew zdawała się tryskać; przez dziury podartej koszuliny widać było dziecięcą pierś, falującą mocno. Było to dziecko-kobieta. Dojrzała ona przedwcześnie w tym zgniłym życiu i miała zginąć w zgniliznie.

Nie, Mańka znalazła obronę przeciw tej nędzy, która ją w życiu czekała; tej nędzy, co się tuła pomiędzy cyrkułem, szpitalem i kryminałem: miała sobie życie odebrać.

Oto pierwsze dziecko ulicy z szeregu, który oczom waszym przedstawię.

Mańka była podniecona swym opowiadaniem do najwyższego stopnia. Patrzała w światło zielone lampy, jakby widziała w nim to wszystko, co opowiedziała i czego nie opowiedziała, bądź przez zapomnienie, bądź ze wstydu.

Gdyby Mańka była patrzyła nie na światło lampy, ale na twarz swej słuchaczki, byłaby się przeraziła. Wyczytałaby w tej twarzy na przemian pogardę dla siebie, bezgraniczną miłość, podziw, rozpaczliwą litość, szalony ból, a potem wyraz jakiegoś strasznego znużenia po wielkiej wewnętrznej walce.

W czasie opowiadania Mańki hrabianka nie odezwała się ani jednym słowem, choć dusza jej krzyczała w głoś; gdy Mańka ucichła, hrabianka kilka razy otwierała usta, by coś powiedzieć, ale nie mogła, bo czuła w gardle ucisk straszny.

Wreszcie przycisnęła dziecko do piersi, chciała je pocałować, ale w tejże chwili straciła równowagę i runęła bez zmysłów na ziemię.

Mańka krzyknąć nie zdążyła, gdy już wszedł do pokoju jakiś pan nieznajomy, wziął dzbanek wody, prysnął zemdlonej wodę na twarz; i hrabianka otworzyła oczy.

– Odwagi, odwagi! pani – rzekł lekarz.

– Już nic. Może pan odejść.

Nieznajomy wyszedł.

Mańka nic z tego zrozumieć nie była w stanie. Jedno pojmowała: że jeśli jest otoczona duchami, to duchami dobrymi.

– Co pani się stało? – zapytała Mańka.

– Nic, dziecko moje. Znużona jestem.

– Bo pani klęczała tak długo. Niech się pani przy mnie położy.

Może pani się mnie brzydzi, może mnie pani już nie kocha?

– Kocham cię, dziecko, kocham jeszcze bardziej.

Usiadła na krześle, oparła głowę o poduszkę Mańki i powiedziała:

– Śpij, Maniu.

I dziecko zasnęło, trzymając jej dłoń w swojej ręce.

Nazajutrz hrabianka usiadła w gabinecie nad zeszytem, który nosił tytuł: Mańka. Streściła w nim swoją rozmowę i trzy razy odkładała pióro, bo ręka jej drżała. Sprawozdanie swe zakończyła uwagą:

„Sądzę, że brat się myli. Nie, z tych dzieci nic się nie da zrobić, bo we krwi noszą zarodki zepsucia i przez pierwsze lata nasiąkły nim tak, że nic ich nie uleczy”.

A pod tą uwagą hrabia zrobił swoją:

„Wierzę, że dla odrodzenia tych dzieci potrzebna tylko wielka dla nich miłość i wielka praca”.

Późno już otworzyła Mańka oczy. Rozejrzała się po swym pokoju, powoli uprzytomniała sobie ostatnie wypadki, przypomniała sobie zwierzenia nocne przed nieznaną i poczuła nagle gniew silny.

„Po co ja jej wszystko gadałam? – myślała. – Co ją może obchodzić, jaka jest moja matka? Ja nie chcę, żeby ona tu przychodziła, żeby do mnie mówiła, żeby ze mną rozmawiała. Nie trzeba mi żadnej opieki, nic mi nie trzeba. Antoś ma słuszość: trzeba uciec. Trzeba się z nim zobaczyć, przygotować

się. Ja chcę wrócić. Teraz jesteśmy wolni, mogę nie pokazywać się matce. Kiedy nas sprzedali, a my dostaniemy papiery wszystkie, co oni nam zrobią?”

Hrabianka weszła do pokoju i z nienaturalnym uśmiechem na bladej twarzy, zapytała, zbliżając się do Mańki.

– Dobrze spałaś?

– Dobrze – odparła dziewczynka, patrząc w ziemię.

– Czy gniewasz się na mnie?

– A co mam się gniewać?

– Ja, wiem, Maniu, że ty masz żal do mnie. Sama prosiłam cię, żebyś mi nie opowiadała historii swego życia, nim nie poznasz mnie dokładnie, nim się nie przekonasz, że ci dobrze życzę. Prawda, że cię prosiłam, co?

– Tak – mruknęła Mania – Ja chcę widzieć się z Antkiem.

– Antoś śpi jeszcze, ale zaraz tu przyjdzie do ciebie. Ubierz się, Maniu. Czy chcesz, żebym stąd wyszła?

– Wszystko mi jedno.

– Nie, Maniu, mów szczerze do mnie. Czy chcesz zostać sama?

– Tak.

– Więc wyjdę. Pamiętaj, Maniu, my możemy pokochać się tylko w tym razie, jeśli będziemy zawsze mówili, co myślimy, co czujemy. Ja cię już kocham, dziecko moje, a pragnę, byś i ty mnie polubiła. Czy teraz wcale mnie nie lubisz jeszcze?

Mania milczała:

– Powiedz mi, Maniu, cichutko, do ucha.

– Nie – szepnęła Mania – ale może później polubię. Ja teraz nikogo nie mogę lubić... prócz Antka – dodała po chwili.

V. Ucieczka

– Panie Antoś, niech pan wstaje, śniadanie przyniosłem.

Antoś otwiera oczy.

Śniadanie mu przynieśli? Mleko? Pii! Golnąłby kieliszek wódki na wzmocnienie kości. Ach, jak pysznie wyspał się; to ci było dopiero prawdziwe spanie. Przynieśli mu śniadanie i ten stary powiedział: „panie Antoś”, a nie „Antek”. Od razu wyszedł na pana. Ach, gdyby to było tak właśnie, jak jest, ale inaczej. Bo że tu będzie nudno, to i gadania nie ma. Jakieś osady rolne albo więzienie, albo lichy wie co, dość, że nudno i już.

A Antek czuł w sobie zapas świeżych sił. W taki dzień on mógł zarobić dwa albo i trzy ruble; w takie dni właśnie przychodziły mu na myśl najlepsze „kawały”, pełno go było na wszystkich ulicach, zaczepiał każdego, nawet z „strucła¹⁵” umiał sobie zakpić porządnie. Ale tu?... A potem, po takim dniu krzątania – wieczór wolny, jak znalazł. Szło się do Stacha na karty, stawiało się sznapę¹⁶, fundowało się i opowiadało się sobie różne kawałki z polityki i z innych rzeczy. A, wesołe życie! Ale tu?... I wszystko przez Mańkę, sam nie dałby się tak zawieźć jak baran; byłby czmychnął choćby z bryczki jeszcze. A bo to raz uciekał? Dwóch stróża macha co sił, jeszcze tam jakiś pędzi, a

¹⁵ *strucel* (gw.) – stróż, dozorca. [przypis edytorski]

¹⁶ *sznapa* (gw., z niem. *Schnaps*) – wódka. [przypis edytorski]

on to tu, to tam, za róg, w ulicę i ani śladu. Nie darmo bo mówi zawsze Broniek, że z babami dobrze, ale z daleka. I cóż on teraz zrobi?

– Tak czy tak, trzeba raz skończyć – powiada Antek i wstaje.
– Ho, ho! nowe ubranie, a jakie *galantne*¹⁷.

Stare gdzieś sprzątnęli. Bardzo się mylą, jeżeli myślą, że go *wezmą* na to. Gałgany dobre dla bab, ale nie dla niego. Antka i tak znają dobrze. Tam kto funduje, ten pan, kto dobrze wali, ten górą. Ale Wicka sprzął należycie. I teraz właśnie, kiedy mógł korzystać ze swego zwycięstwa, zbierać laury swego tryumfu, akurat ten stary dureń wywiózł go licho wie po co.

– Dziś jeszcze umknę – postanowił Antek.

Mleko mu dają, także mi rarytas. Co to on przy piersi, żeby mleko pił? Jeszcze mu każą tu pewnie uczyć się stolarstwa jak Jankowi, ale Janek co innego; on z wyroku był wzięty na osady, bo okradł zegarmistrza, u którego pracował, ale jego, Antka, jeszcze nikt nie złapał na kradzieży.

– Drapnę stąd, jak Bóg na niebie – mruknął chłopiec.

Nie mógł wybrać hrabia Zarucki mniej odpowiedniej chwili na odwiedzenie swego więźnia.

– Dzień dobry – rzekł, wchodząc.

– Dzień dobry. Doskonale, proszę pana, że pan tu przyszedł, bo ja chcę się z panem rozmówić. Tylko niech pan nie patrzy tak na mnie, bo ja się nie zleknię... Proszę pana, niech mi pan powie, co pan chce ze mną zrobić?

¹⁷ *galantny* (gw. warsz.) – ładny. [przypis edytorski]

– Dowiesz się niezadługo.

– Ja chcę zaraz wiedzieć, bo ja chcę wrócić do ojca.

– Czy ci tu źle?

– Źle nie źle, a ja chcę, proszę pana, wrócić i już. Tam, w

Warszawie, mam robotę...

– I tu pracę znajdziesz.

– Ja tam takiej pracy nie chcę. Ja nic nie mówię: może pan chce dla mnie bardzo dobrze, ale ja, proszę pana, nie mogę tu być i już. Może pan chce nas na własność, może panu własne dzieci umarły. Bo to była jedna dziewczucha u nas, to ją jakaś pani wzięła do siebie, i teraz ciągle jeździ z tą panią jak jaka pani. Niech sobie pan zatrzyma Mańkę, a jak panu potrzebny chłopak, to ja panu stu nastęczę, ale ja tu być nie mogę. Jest tam u stróża jeden zdechłak, jak raz na pańskie dziecko, bo to i nad książką ciągle siedzi, mało mu matka uszów za to nie poobrywa, i takie to jakoś całkiem głupie, *rychtyg*¹⁸ jak hrabiątko jakie; Marcin ma ich siedmioro; jak się dowie, że u pana będzie Jędrkowi dobrze, to go panu da na chowanie albo na własność i za darmo nawet. Ale ja panu mówię uczciwie, że to nie dla mnie. Ja lubię mieć chłopców, ja lubię sobie zafundować i innym jeszcze funduję, ja łaski nie potrzebuję, bo mogę sobie zarobić! Wczoraj to się irytowałem, ale teraz mówię, proszę pana, bez gniewów żadnych, bo wiem, że jak pan zrozumie, proszę pana, że to ani dla pana interes, ani dla mnie, pan sam puści. A przecież pan dał słowo honorowe, że jak nie będę chciał tu być, to mnie pan puści. Po

¹⁸ *rychtyg* (gw., z niem. *richtig*) – zupełnie jak. [przypis edytorski]

co pan ma mieć kram tylko z policją? Bo ja ucieknę i jak mnie zapytają o papiery, to powiem, że pan nie chce mi oddać, i już. Mnie tylko ojciec ma prawo gwałtem trzymać, a pan nie. A ojcu nie wolno mnie sprzedawać. Panu się zdawało, że ja taki głupi, oho! ja tylko udaję głupiego, jak chcę, ale ja jestem *cwaniak*¹⁹, proszę pana, tak!... Z panem mogę mówić po ludzku, bo się domyślam, że pan albo jest dobry jaki człowiek, albo panu klepki brak w głowie.

Zarucki, który oparł głowę na dłoniach, spojrzął przy ostatnich słowach na Antka.

– Przepraszam pana, ja wcale tak nie myślałem, tylko... No, bo ja wiem, może pan jest bardzo bogaty, to pan może tyle płacić za jakichś tam... Więc jak będzie z nami?

– Zostań tu, Antosiu, choć przez zimę.

¹⁹ *cwaniak* (gw. warsz.) – spryciarz. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.